

MONARCHISTA

PISMO PRZEŁOMOWE

NR 12 A.D. 2011



Rys. Artur Grottger, Szlachcic pod figurą

Spis treści:

Karol Jasiński <i>Antyklerykalizm - opium dla mas</i>	III
Adam Danek <i>O ocenę stanu wojennego</i>	VI
Tadeusz Matuszkiewicz <i>Kiedy antykomunizm staje się gnozą ?</i>	XI
Krzysztof Binkiewicz <i>O demoliberalnej retoryce</i>	XVII
Krzysztof Marek <i>Kilka słów o wolności</i>	XVIII
Leszek Gembarzewski <i>Monarchia narodowa</i>	XIX

Kontakt z redakcją:

jasinski.karol@gmail.com

www.facebook.com/monarchista

www.pismomonarchista.wordpress.com

Antyklerykalizm - opium dla mas

Spośród wielu prądów lansowanych przez polskojęzyczny establishment medialno-polityczny ostatnimi czasy wiodącym okazał się być antyklerykalizm. Idea ta jest przedstawiana jako słuszna walka z uprzywilejowanym klerem. Owa przewaga duchowieństwa wynikać ma z jego rzekomych przywilejów natury finansowej, przemożnego wpływu na państwo oraz patologicznej żądzy pieniędzy. Taka mniej więcej narracja z odmetów niszowych mediów od jakiegoś czasu znów pojawia się w ich głównym nurcie.

Cały problem antyklerykalizmu oscyluje głównie wokół pieniędzy. Sugeruje się społeczeństwu, że księża pławią się w luksusach i dobrobycie, nie płacą podatków, ubezpieczeń, nieformalnie wpływają na politykę państwa polskiego, otrzymując z tego tytułu korzyści. Propagandziści antykościelni doskonale zdają sobie sprawę z ludzkiej natury. Wiedzą o tym, że najłatwiej wskazać wroga jako cynicznego bogacza, żerującego na krzywdzie reszty społeczeństwa. Taki obraz jest łatwy do stworzenia. Najprostszym wskazaniem jest gra na emocjach grupy docelowej, której celem jest przeformatowanie myślenia według życzeń mocodawców. Zbicie kapitału polityczno-ideowego na bazie najprymitywniejszych instynktów człowieka tj. jego zazdrości, chciwości i zwykłej nienawiści do lepszego jest sztuką łatwo osiągalną przy pomocy gigantycznych tub medialnych. Współczesny człowiek, odchowany w warunkach powszechnego egoizmu i konsumpcjonizmu jest podatny na tego typu retorykę. Na skuteczność przekazu antyklerykalnego składają się zatem: umiejętność przedstawienia duchowieństwa, czy szerzej Kościoła, w swoistym krzywym zwierciadle, ignorancja odbiorców oraz zawistny fragment natury człowieka wzmocniony otaczającą nas wszywką rzeczywistością, która nakazuje *stricte* materialne podejście do ludzi i zdarzeń.

Antyklerykalizm odnosi się tylko do duchowieństwa katolickiego. W całej swej przewrotności wrogów religii jedno trzeba im oddać: wiedzą w kogo należy uderzyć, żeby walczyć z Prawdą. Co ciekawe ich trafne przeczucie czy świadomość tego, kto dzierży w ręku ster prawdy powinna zawstydząć "ochrzczonych" (katolicy, których stosunek do wiary można hurraoptymistycznie określić jako letni). Antyklerykałowie nie zaatakują rabina gminy żydowskiej czy dalajlamy. Jeśli ktoś by się na to publicznie odważył to w najlepszym przypadku zostanie pouczony o tym gdzie leży właściwy obiekt napaści, a w najgorszym razie ten osobnik sławy nie zdobędzie (np. jako antysemita).

Według polskiego prawa wszystkie kościoły i związki wyznaniowe w Polsce mają równe prawa i obowiązki względem Rzeczypospolitej. Wszyscy przedstawiciele tych organizacji płacą dokładnie te same podatki czy składki ubezpieczeniowe. W przypadku polskim ukierunkowanie niechęci do osób duchownych na kler katolicki można wytłumaczyć ich liczebną przewagą wobec duchownych innych wyznań. Księża katolickich po prostu widać, w przeciwieństwie do reprezentantów marginalnych wyznań w Polsce jak judaizm czy buddyzm. Duchowni katolicy prowadzą zajęcia religii w publicznych szkołach, gdyż znaczna większość mieszkańców Polski odczuwa jakiś związek z Kościołem katolickim i posyła dzieci na rzeczone zajęcia. Kościół bywa także aktywny na polu kulturalnym czy medialnym. Antyklerykałowie nie potrafią zrozumieć, że ksiądz katolicki jest także obywatelem polskim w tym samym stopniu co pielęgniarka, robotnik czy adwokat. Co prawda z racji swej profesji nie ma prawa startu w wyborach, ale wyznawcom równości i tolerancji to nie przeszkadza.

Ksiądz zatrudniony jako nauczyciel w szkole czy profesor na uniwersytecie otrzymuje pensję za wykonywaną pracę, od której odprowadza podatek dochodowy oraz składki na ubezpieczenia społeczne dokładnie na tych samych zasadach co nauczyciele czy profesorowie bez sutann. Księża ograniczający się do posługi kapłańskiej płacą podatek ryczałtowy dokładnie na tych samych zasadach jak pop czy imam. Wynika to ze słusznego uznania państwa polskiego pracy duszpasterskiej za pracę innego, specjalnego typu, pracę duchową. Wielkość podatku zależy od wielkości parafii i liczby jej mieszkańców. Smutną konstatacją (wobec niezrozumienia oczywistości) jest fakt, że ksiądz tak jak każdy inny mieszkaniec naszego kraju płaci np. podatek akcyzowy czy VAT. Głoszenie zatem, że duchowni podatków nie płacą jest kłamstwem świadomym, obliczonym na utratę zaufania do Kościoła przez odbiorców tak spreparowanej informacji.

Ludowa zazdrość o samochód księdza (najsłynniejszy przypadek to nieistniejący Maybach ks. Rydzyka), jego pieniądze, nowe kościoły jest podsycana przez media, które nieustannie kreują rzeczywistość wedle różnych potrzeb. W czasach kryzysu gospodarczego, nieumiejętnie prowadzonej polityki finansowej państwa, widma zapaści ekonomicznej, polityczno-medialne ośrodki chętnie zrzucają przynajmniej część pretensji ludu z pleców władzy i kierują je w akceptowalne dla siebie rejony. Tworzy się mit bogactwa Kościoła, który nie potrafi oszczędzać, a jego pieniądze mają klucz w oczy przeciętnego obywatela, dotkniętego kryzysem. Należy odwracać uwagę od powszechnej korupcji, milionów złotych nagród dla pracowników administracji, ale potrzeba za to oburzać się na nowy samochód księdza (kupiony np. z pensji uniwersyteckiej). Oczywiście jednostki myślące jeszcze bardziej prymitywnie, bez podszeptów medialnych demiurgów, będą zazdrościły nowego samochodu każdemu. Tak samo jak nie wyrzekną się pretensji o pieniądze ofiarowane przez wiernych dobrowolnie na tacę. Ci sami osobnicy dużo mniejsze oburzenie są łaskawi okazywać wobec obowiązkowych danin publicznych, pobieranych przez państwowy aparat przymusu, których ilość i wysokość nieustannie rośnie. Przyjmują ten fakt najwidoczniej jako normalny i oczywisty. Kolejną kwestią jest niezrozumienie, że za ślub, pogrzeb czy chrzciny należy się księdzu zapłata, gdyż jest to jego posługa, z której musi się utrzymać. Wierzący nie mają z tym problemu, gdyż Kościół należy wspierać nie tylko modlitwą. Organizowanie tych uroczystości z pomocą Kościoła nie jest obowiązkowe. Oczywiście jeżeli dany ksiądz pracuje w dużej, bogatej i wiernej parafii pieniędzy uzbiera więcej niż duchowny w małej, biednej parafii, gdzie dodatkowo niewielu jest praktykujących.

Kościół w tej propagandowej narracji jest pazerną władzą i pieniędzy instytucją. Nawet Fundusz Kościelny, którego środki pochodziły z budżetu państwa w ramach odszkodowań za zagrabione Kościołowi w Polsce powojennej ziemi i nieruchomości, został wskazany jako symbol żerowania na państwie. Społeczeństwo jest manipulowane w sposób skuteczny, gdyż nie ma potrzebnej wiedzy do oddzielania prawdy od łgarstwa. W ramach tego systemu, koniecznie trzeba to powtarzać, zwrócono także pozostałe jeszcze majątki lub ich rekompensatę finansową pozostałym kościołom i związkom wyznaniowym. Nieujmowanie tego faktu wskazuje na akcję planowego oczerniania Kościoła Katolickiego, jedyne depozytariusza prawdy, z wymyślonych powodów i przemilczanie dokładnie takiego samego traktowania instytucji pozostałych wyznań czy religii. Buduje się w ten sposób poczucie wyjątkowej pozycji Kościoła w Polsce, wynikającej z rzekomych przywilejów czy specjalnego traktowania przez władzę. To kolejna, przeprowadzona z zimną krwią manipulacja.

Kolejnym zarzutem wobec Kościoła jest jego "wtrącanie się w politykę". Otóż, szanowni demokraci, stworzyliście system, w którym Kościół ma prawo wypowiadać się na każdy temat, przedstawiając swoje zdanie tak samo jak wszystkie pozostałe instytucje. Co więcej, Kościół dodatkowo posiada też nałożony przed wiekami obowiązek głoszenia Prawdy w każdym miejscu na Ziemi, wzmocniony oczekiwaniem milionów wiernych.

Ostatnią artykułowaną otwarcie obiekcją wobec duchownych jest ich rzekome niemoralne prowadzenie się i niezdrowy tryb życia. Oczywiście, wobec przedstawicieli Kościoła, poza którym nie ma zbawienia, wymagania powinny być najwyższej próby. Trzeba tylko, przy odrobinie dobrej woli, zauważyć, że Kościół jest świętą wspólnotą grzesznych ludzi. Osoby duchowne Kościoła Katolickiego w Polsce to przeszło sto tysięcy ludzi i w tym kontekście należy oceniać pojedyncze przypadki niewłaściwego postępowania. Jest to absolutny margines, promil, niezauważalny bez czarnej przysługi merdiów rozdmuchujących każdy, nawet niepotwierdzony incydent do niebotycznych rozmiarów. Znikoma ilość zachowań urągających księżom jest niezaprzeczalnym (przez zdrowy rozsądek) faktem.

Antyklerykalizm ma na celu podzielenie społeczeństwa, spolaryzowanie w sprawie stosunku do Kościoła. Jest to niebezpieczne zjawisko, gdyż atakowana jest instytucja nierozzerwalnie związana z polskim państwem przez wzgląd na całą jego historię i przywiązanie milionów Polaków do Kościoła założonego przez samego Boga. Antyklerykalizm, który jest częścią szerszego i nie tak popularnego w Polsce (ze względu na większą szczerą założenia) antykatolicyzmu, co oczywiste jest ruchem antykościelnym, ale jest także (ze względu na zamierzony podział społeczeństwa i atakowanie jednej z jego grup) ruchem antypaństwowym. Antyklerykalizm podmywa fundamenty funkcjonowania zdrowego państwa, opartego także na niedyskryminacji ze względu na przynależność do grupy społecznej, religijnej czy też ze względu na posiadane wykształcenie lub majątek. Bolszewicka w istocie nienawiść do osób podejrzewanych o zasobność czy lepsze wykształcenie żyje nadal w podskórnym ciele partii społeczeństwa.

Kościół jest instytucją, która wspomaga lub wręcz wyręcza państwo w wielu dziedzinach od wyżywienia osób potrzebujących, przez pomoc charytatywną, stypendialną, edukacyjną aż do prowadzenia hospicjów czy domów opieki. Drodzy materialści, policzcie te pieniądze, pomnóżcie przez dwa tysiące lat oraz liczbę miejsc na świecie gdzie te praktyki się odbywają. Oczywiście najważniejszą kwestią jest niesienie pomocy duchowej, nauczanie Prawdy. Bez Kościoła bylibyśmy dalej barbarzyńcami, którzy nie wiedzą czym jest uniwersytet czy szpital. Uważajmy więc na fałszywych proroków, którzy niezmordowanie próbują przekonać do rajy na ziemi po ograniczeniu bądź wyeliminowaniu Kościoła.

Karol Jasiński

O ocenę stanu wojennego

Jak co roku w grudniu, media, politycy i różne organizacje próbują wzbudzić zbiorowe emocje w naszym znudzonym, mieszczańskim społeczeństwie na kanwie rocznicy wprowadzenia w 1981 r. stanu wojennego przez pierwszego sekretarza Wojciecha Jaruzelskiego. Tym razem starają się nawet bardziej niż zwykle, bo jak wiadomo okrągła (tj. w tym przypadku trzydziesta) rocznica znacznie lepiej sprzedaje się medialnie i politycznie. Nie byłoby w tym zresztą nic złego, gdyby nie fakt, że za każdym razem robią to według dokładnie tych samych fabularnych schematów – nieświeżych, od dawna utartych, czy może raczej wytartych, a przede wszystkim fałszywych. Mamy więc z jednej strony rozmaitych zwolenników postsolidarnościowej narracji historycznej z jej niekończącymi się opowieściami o miejscach odosobnienia, grypsach, pałowaniu demonstracji, powielaczu i jego dzielnej obsłudze... i tak dalej, i tak dalej. Z przeciwnej strony dobiega narracja historyczna rozmaitych sierot po PRL, jakby mniej licznych i słabiej reprezentowanych w świecie mediów, ale mimo wszystko nadal obecnych – z ich przekonaniem o obronie przez Jaruzelskiego porządku państwowego i polskiej racji stanu, o powstrzymaniu przezeń sowieckiej interwencji zbrojnej, o „decyzji tragicznej, lecz koniecznej”... i tak dalej, i tak dalej. A inscenizowanie przed kamerami wiecznie takich samych dyskusji, prowadzonych w telewizyjnym studio przez najbardziej nudnych i najbardziej mainstreamowych reprezentantów obu narracji ma być dla milionów szarych zjadaczy telewizyjnej papki uspokajającym dowodem, że w naszym kraju panuje pluralizm oraz że odbywa się w nim rzeczywista „debatą” nad ważnymi dla narodu zagadnieniami.

W związku z powyższym chciałbym i ja pokusić się o garść uwag na temat zarówno samego stanu wojennego, jak i jego współczesnej recepcji.

I

Posiwiali i/lub brzuchaci dzisiaj weterani „opozycji demokratycznej”, jak co roku dominujący w medialnym hałasie wokół 13 grudnia, malują okres stanu wojennego, a także późniejsze lata rządów gen. Jaruzelskiego, najczarniejszymi barwami: terror, groza, niepewność dnia i godziny, przerażająca skala represji, przemoc na ulicach, paraliżujący strach wśród ludzi, zamarcie zdławionego siłą życia społecznego.

Jednocześnie trudno nie odnieść wrażenia, że opowiadają oni o tym, co przedstawiają jako bezprecedensowe zło i zbrodnię popełnioną na narodzie... z wyraźną przyjemnością. Bo te wszystkie komunistyczne represalia były wymierzone w nich. Ho ho – mówią w ten sposób – patrzcie, jacy byliśmy potężni i bezkompromisowi, jak bardzo system się nas bał, skoro wytoczył przeciw nam takie środki. W każdą rocznicę stanu wojennego cały kraj słucha ich opowieści o własnej martyrologii, o tym, jak dzielnie zakładali „Solidarność”, jak dzielnie strajkowali, jak dzielnie bili w podstawy komunistycznej władzy za pomocą ulotek, jak dzielnie nosili „bibułę”, jak dzielnie nie dali się złamać w więzieniach, obozach i internatach, jak dzielnie znosili rozłąkę z rodziną, jak dzielnie odmawiali składania zeznań, jak dzielnie już w celi knuli zamiary dalszej, skuteczniejszej walki z systemem, jak dzielnie konspirowali i jak dzielnie pokonali w końcu komunę. Gdyby ulec sugestii tego obrazu, można by pomyśleć, że Polską rządzą dziś ludzie bohaterscy i niepospolici. Tymczasem codzienna obserwacja wykazuje, że obecna, demokratyczna warstwa rządząca to moralne, intelektualne i polityczne miernoty, nie lepsze pod tymi względami od komunistów. (Podobnie, jak komunistyczną miernotą polityczną bez krztyny wyrazistości czy wybitności był – o czym dalej – Jaruzelski.).

Wszyscy znamy psychologiczny fenomen kombatanckich opowieści – i wszyscy wiemy, że służą one głównie do popisywania się w towarzystwie, jak każda inna odmiana samochwalstwa.

Zgoła groteskowo brzmiały banały o tym, jak wielkim złem był stan wojenny, recytowane ze śmiertelną powagą przez weterana (brzuchatego i siwiejącego) „opozycji demokratycznej”, prezydenta Bronisława Komorowskiego. W 2010 r. zaprzysiężenie prezydenta-elekta Komorowskiego uświetnił swoją obecnością nie kto inny, jak gen. Jaruzelski, z którym nowy prezydent już po zaprzysiężeniu wymienił przed kamerami demonstracyjne uprzejmości.

II

Obie strony inscenizowanego siermiężnie „sporu” zgadzają się, przedstawiając stan wojenny jako wydarzenie niezwykle ważne. Media robią z niego wręcz oś, wokół której kręci się najnowsza historia Polski. Tymczasem w rzeczywistości stan wojenny miał dla polskiej historii znaczenie marginalne. Nie spowodował strukturalnych zmian ani wewnątrz PRL, ani w polityce międzynarodowej. Nie stanowił symptomu procesów kształtujących oblicze świata. Ze strategicznego punktu widzenia był zaledwie epizodem. Wydarzenia ważne przyniósł dopiero przełom lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku: dekompozycja bloku sowieckiego i samego ZSRS, wytworzenie przez nią w Europie Środkowej (i częściowo Wschodniej) próżni strategicznej oraz stopniowe wypełnianie jej przez wpływy Zachodu. Zwyciężyła Ameryka; wygrała jej „teoria konwergencji”, wcześniej rozreklamowana intelektualnie zwłaszcza przez Zbigniewa Brzezińskiego; wygrała strategia transformacji poprzez pakt elit komunistycznych i opozycyjnych, wysunięta przez analityków CIA jeszcze w latach osiemdziesiątych, dobre parę lat przed „okrągłym stołem” i Magdalenką. To wtedy, a nie w 1981 r., ważył się i rozstrzygnął los Polski.

Wtedy też, na samym początku lat dziewięćdziesiątych, Polska uzyskała szansę odbudowania własnej, podmiotowej pozycji na arenie międzynarodowej – tylko po to, by ją zlekceważyć i zmarnować. Światło dzienne ujrzały wówczas inicjatywy politycznego zorganizowania państw Europy Środkowej (i Wschodniej), zawieszonych teraz w strategicznej próżni, w strukturę względnie samodzielnych w stosunku do Zachodu i Wschodu. (Szybko ustąpiły jednak zabiegom elit politycznych tych państw o jak najszybsze zastąpienie hegemonii sowieckiej hegemonią zachodnią – o co energicznie zabiegały także kolejne rządy Polski.). Jako druga alternatywa (dla pozbawionej ponoć alternatyw drogi na kolanach do natowskiego i unijnego rajy na ziemi) zarysowała się ponadto dla Polski możliwość rzeczywistego (tzn. nie wymuszonego) wyboru orientacji wschodniej. Związek Sowiecki już jawnie utracił charakter państwa ideologicznego, a pod koniec 1991 r. przestał istnieć, zastąpiony przez grupę niezależnych podmiotów zrzeszonych we Wspólnocie Niepodległych Państw. Dla osłabionej, atakowanej i ogarniętej wewnętrznym kryzysem Rosji właśnie wtedy Polska mogła okazać wartościowym i docenionym sojusznikiem, zaś Rosja i inne państwa WNP dla Polski – sposobem na uniknięcie narzucenia jej modelu zachodniego, który można zdefiniować jako demoliberalizm w sprawach politycznych połączony z liberalnym materializmem w sprawach gospodarczych i społecznych. Polska klasa polityczna w naszym imieniu odrzuciła obie te alternatywy, a przecież wbrew temu, co wmawiano nam wówczas i co wmawia się dzisiaj, one istniały. To czas, kiedy prezydent Polski (co by o nim nie sądzić) rzuca pomysł powołania w kręgu państw postkomunistycznych „NATO-bis i EWG-bis”, co do dziś wspominają z przerażeniem rodzimi przedstawiciele orientacji euratlantyckiej. Ale wróćmy do tematu.

Obrońcy tezy o wyjątkowości i bezprecedensowym charakterze stanu wojennego w polskich dziejach zawzięcie perorują o okropieństwach wynikłych z zaprowadzenia w 1981 r. „reżimu wojskowego” w Polsce. Tak jakby reżim istniejący w Polsce do 1981 r. był całkiem w porządku. No dobrze – odpowiadają – ale jednak stan wojenny wywołał w kraju szok,

ponieważ po raz pierwszy rzucono polskie, bądź co bądź, wojsko przeciw polskiemu narodowi. Wierzą zatem widocznie (niestety – nie bez powodu) w amnezję historyczną swoich rodaków, bo przecież przed rokiem 1981 wojsko w PRL nieraz wykorzystywano w charakterze narzędzia represji wobec ludności cywilnej, by wspomnieć tylko masakrę w Gdańsku w 1970 r., a wcześniej wyczyny Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego czy działalność Wojskowych Batalionów Górniczych, sformowanych przez „marszałka” Rokossowskiego dla politycznych podejrzanych i przeciwników komuny. Ci, według których stan wojenny zmienił wszystko, zapominają o czymś niezmiernie ważnym: nie od 13 grudnia 1981 r., ale od samego początku istnienia „Polski Ludowej” zdecydowana większość naszego narodu postrzegała jej ustrój jako obcy, narzucony z zewnątrz. A polityczni decydenci PRL przez cały czas jej istnienia nie zrobili nic lub zrobili zdecydowanie za mało, by to powszechne poczucie zmienić.

III

Historyczna ocena gen. Jaruzelskiego musi wypaść jednoznacznie negatywnie. Ale nie dlatego, że zaprowadził stan wojenny – tylko dlatego, że zaprowadził stan wojenny i nie zrobił następnie nic sensownego. Absolutnie nic. Nie zrealizował koncepcji, którą komunistom w tekście pod znamienym tytułem „*Jak zachować władzę w PRL?*” podsuwał **dr Mirosław Dzielski** (1941-1989), a przed nim **Stefan Kisielewski** (1911-1991): utrzymania istniejącego systemu rządów przy jednoczesnym uwolnieniu gospodarki od doprowadzonego do absurdu modelu nakazowo-rozdzielczego. Nie poszedł też za sugestiami **prof. Bronisława Łagowskiego** (ur. 1937) – wypowiedzianymi pod jego adresem wprost w głośnym wykładzie „*Filozofia rewolucji czy filozofia państwa?*” (1983) – by wykorzystać możliwości stworzone przez stan wojenny do instytucjonalnego wzmocnienia wspólnoty politycznej, odstawić ideologię marksistowsko-leninowską, a w próżni po niej dokonać odrodzenia idei państwowej właśnie. A przecież obie te koncepcje musiały być znane peerelowskim dygnitarzom, choćby z raportów Służby Bezpieczeństwa, zbierającej i poddającej analizie wypowiedzi ich autorów w ramach swoich rutynowych czynności.

Stan wojenny wytworzył w systemie politycznym PRL nową jakość: cała władza została skupiona w wojsku. Relacje między partią komunistyczną a wojskiem uległy odwróceniu o sto osiemdziesiąt stopni: teraz to partia stała się zakładnikiem armii, a nie odwrotnie. Mając w rękach wszystkie instrumenty rządzenia, ekipa Jaruzelskiego mogła podjąć próbę zniesienia zasady partyjności instytucji państwowych, bądź też rozwiązać strupieszalą PZPR, a w jej miejsce powołać nowy, koncesjonowany ruch polityczny – prorządowy, propaństwowy, a nawet prorosyjski i socjalistyczny, ale wolny wreszcie od marksizmu i niesionej przez niego wrogości do religii, otwarty na katolików, ludzi Kościoła, a ideologiczne środowiska eksperckie, niekomunistyczne środowiska kombatanckie i innych dotychczasowych „niezależnych” (przynajmniej w aspekcie światopoglądowym). Jaruzelski zamiast zakopać, podtrzymał partyjnego trupa – powołany wkrótce PRON był w widoczny dla wszystkich sposób zaledwie nazewniczą kosmetyką dla PZPR, a jego utworzenie nie pociągnęło za sobą żadnych zmian w polityce wewnętrznej. Dopiero w lipcu 1988 r. komuniści zaproponowali „Solidarności” znacznie bardziej ograniczone rozwiązanie: utworzenie chrześcijańskiej partii politycznej, która otrzymałaby 40% mandatów w sejmie PRL. Propozycja nie została przez stronę solidarnościową podjęta.

Ekipa rządząca Jaruzelskiego, wyłoniona ze stanu wojennego, aż do schyłku PRL utrzymywała dotychczasowy system partyjno-polityczny, wraz z jego siermiężną ideologią. Aż do schyłku PRL nie uczyniła też niczego dla zwiększenia zakresu niezależności PRL od Związku Sowieckiego. Stan wojenny posłużył jedynie utrzymaniu *status quo* w polityce wewnętrznej i zewnętrznej komunistycznego państwa. Skoro zaś stan wojenny posłużył li tylko do podtrzymania irracjonalnego i niewydolnego systemu, jego obrona z pozycji

„państwowych” jest niemożliwa: stan wojenny w żadnym wypadku nie był „*aktem stanu, a więc aktem rozumu państwowego*”, by przywołać znakomite określenie **prof. Stanisława Estreichera** (1869-1939).

Pozostaje oczywiście pytanie: *qui bono?* Znając biografię polityczną Wojciecha Jaruzelskiego, nietrudno na nie odpowiedzieć. Jaruzelski przetrwał bez trudności wszystkie rządowe przetasowania w PRL (1956, 1970, 1980, 1981) i dokonywane przy ich okazji czystki personalne w obozie władzy. Nie tylko przetrwał, ale pisał się w górę, zyskując coraz bardziej odpowiedzialne stanowiska i tym samym coraz mocniejszą pozycję w aparacie państwowym. Jaruzelski został podniesiony do stopnia generała w rekordowo niskim wieku trzydziestu trzech lat – rzecz bez precedensu, bo nawet polscy komuniści przywiezieni nad Wisłę z głębi ZSRS, do swojej nowej roli wojskowych politruków wytypowani i przygotowani przez NKWD, otrzymywali awanse generalskie „dopiero” w wieku trzydziestu kilku lat (Piotr Jaroszewicz, Konrad Świetlik), oczywiście bez względu na brak wiedzy i doświadczenia w sprawach militarnych. Zarazem już w pierwszych latach „Polski Ludowej” Jaruzelski był agentem Informacji Wojska Polskiego, wysoko ocenianym przez oficerów prowadzących. Najwyżej postawiony oficer KGB, który uciekł do bloku zachodniego, Oleg Gordijewski, przed swoją dezercją i ucieczką w 1985 r. odpowiadał m.in. za kontakt z Jaruzelskim, wówczas już generałem.

Nawet w specyficznych warunkach PRL Jaruzelski wyróżniał się na krajowej scenie politycznej jako sowiecki agent wpływu. Rola, jaką odegrał w latach stanu wojennego i późniejszych, przypuszczalnie polegała po prostu na pilnowaniu interesów jego mocodawców.

IV

Obydwie strony medialno-historycznego „sporu” przemilczają fakt niewygodny dla obu narracji, a bardzo ważny dla oceny tamtych wydarzeń: stan wojenny ocalił „Solidarność”. Wprost przyznał to chyba tylko Tomasz Jastrun we wspominkowej wypowiedzi w 2000 r. Jastrun powiedział wówczas: „*Uderzenie stanu wojennego przyszło, gdy Solidarność zaczynała się degradować, istniała przecież wbrew logice historii. Ale stan wojenny, paradoksalnie, ocalił szansę na stworzenie mitu i to był następny wybryk moralnej bomby termojądrowej.*” Latem i jesienią 1981 r. „Solidarność” wchodziła już w fazę dekompozycji. Początkowa fala entuzjazmu z roku 1980 opadła, w związku z czym malała zdolność mobilizacji mas członkowskich. Coraz częściej dawało o sobie znać zniechęcenie, a wraz z nim pojawiał się impas w działalności. Mnożyły się konflikty pomiędzy poszczególnymi środowiskami i działaczami. Nawet w ścisłym kierownictwie ruchu dochodziło do kłótni, w których polityczni i związkowi liderzy oskarżali się nawzajem o kunktatorstwo czy agenturalność. Wszystko to uważnie obserwowały i sumiennie dokumentowały komunistyczne organa bezpieczeństwa.

Komuniści mogli wybrać bardziej finezyjną strategię neutralizacji „Solidarności”, polegającą na podsycaniu i dyskretnym inspirowaniu w niej wewnętrznych sporów i podziałów, połączonym z powrotem do znanej z czasów stalinowskich „taktyki salami” – strategię obliczoną na sparaliżowanie ruchu poprzez jego maksymalne skłócenie i rozbitcie. Służba Bezpieczeństwa niewątpliwie była do takiego scenariusza przygotowana. Wówczas z dużym prawdopodobieństwem udałoby im się doprowadzić do paraliżu i rozkładu „Solidarności”, której historia zakończyłaby się „*nie hukiem, lecz skomleniem*”, w atmosferze towarzyskich skandali, wzajemnych pretensji, żalu, zgorzknienia, poczucia oszukania. Trzeba było tępego sowieckiego trepa pokroju Jaruzelskiego, by zamiast tego wybrał frontalne, demonstracyjne uderzenie zmasowanymi siłami wojska i służb policyjnych. Przedstawienie, jakie Jaruzelski zainscenizował w Polsce, mobilizując nieproporcjonalnie wielkie środki, na trwałe przykuło do wydarzeń w Polsce uwagę świata zachodniego. Unieśmiertelniło

„Solidarność”, otoczyło ją nimbem legendy barykad, zatarło bez śladu pamięć o impasie ruchu i małości jego liderów, obróciło ją w mit polityczny, a jej wizerunek w kadr z widowiskowego filmu, idealnie nadający się na pierwsze strony gazet. A przede wszystkim – utrwaliło w Kraju i na świecie przekonanie o sile „Solidarności”, a słabości rządu PRL, który by oprzeć się związkowi zawodowemu, musiał sięgnąć aż po regularną armię.

* * *

Gdy szuka się jednej, prostej formuły, pozwalającej skrótkowo ująć ocenę stanu wojennego, do głowy przychodzą słowa, jakimi jeden z największych umysłów politycznych Polski, **Władysław Studnicki** (1867-1953), podsumował rewolucję lat 1905-1906 w carskiej Rosji: „*zmaganie nieudolnego rządu z nieudolną rewolucją*”.

Błądzą zatem środowiska prawicowe i narodowe, ostatnio zwłaszcza te pokoleniowo młodsze, które mniej lub bardziej świadomie powielają narrację stanu wojennego wysnutą przez dawną „opozycję demokratyczną” – samochwalczą, w swej wymowie anarchiczną, opartą na emocjach i fałszywej wizji historii. Organizowanie marszów przeciw stanowi wojennemu prawie trzy dekady po jego zakończeniu wystawia wymowne świadectwo kondycji intelektualnej tych środowisk: swoją tożsamość ideową i orientację polityczną potrafią one zdefiniować już tylko w odniesieniu do przebrzmiałych, od dawna nieaktualnych kwestii historycznych.

Mylą się również apologetci stanu wojennego, zarówno ci związani z postkomuną klasyczną, jak i ich prawicowi „towarzysze podróży” spod znaku endokomuny. Stan wojenny nie wytrzymuje krytyki jako domniemany akt rozumu stanu, a Wojciech Jaruzelski to nie żaden mąż stanu broniący stabilności i autorytetu państwa.

Dobrze – mogą odpowiedzieć jedni i drudzy – ale krytyka cudzych ocen to zawsze łatwiejsze zadanie; co w takim razie należało wówczas robić, czego Jaruzelski zaniechał? Kluczowe, tak jak dla każdej myśli politycznej zasługującej na to miano, pozostaje tu właśnie pojęcie państwa.

Należało wówczas przyjąć stanowisko, jakie w 1987 r. w ważkim artykule „*Uznać państwo...?*”, opublikowanym w podziemnej „Polityce Polskiej”, sformułował Jacek Bartyzel, dziś z pewnością najwybitniejszy w Polsce przedstawiciel myśli tradycjonalistycznej. Bartyzel, zdecydowany antykomunista, miał w nim odwagę „*powiedzieć, że lepsze państwo rządzone przez ekipę gen. Jaruzelskiego, niż stan apañstwowy i »wojna wszystkich przeciw wszystkim«*. *Nie sądzimy zatem by (...) głównym wrogiem społeczeństwa było dzisiaj państwo. (...). Przeciwnie, naczelnym hasłem narodowym winno być dzisiaj to, że walczymy nie z państwem, lecz o państwo.*”

Należało dążyć do odideologizowania państwa i zniesienia (lub możliwie największego ograniczenia) jego partyjności, a tym samym do jego wzmocnienia poprzez przywrócenie mu ogólnonarodowego charakteru. Oficjalny marksizm-leninizm był trupem i trzeba było, również oficjalnie, popchnąć go do grobu, miast na siłę podtrzymywać w pionie, jak Jaruzelski i jego obóz. Pustkę po nieboszczce-ideologii wypełniłoby Państwo Polskie. Ale tej potrzeby nie zrozumiała ani władza, ani opozycja. „Solidarność” ignorowała państwo lub odnosiła się wrogo do jego instytucji. U komunistów, choć ci z upływem czasu wyraźnie scyniczniali, myślenie w kategoriach partyjnych do końca górowało nad myśleniem w kategoriach państwowych.

Adam Danek
źródło: Xportal.pl

Kiedy antykomunizm staje się gnozą?

W jednym z ostatnich komentarzy postawiłem (a w zasadzie podtrzymałem) tezę, iż główną przyczyną unicestwienia na polskiej scenie politycznej prawicy konserwatywno-narodowej było przejęcie przez jej dużą część od radykalnego nurtu postsolidarnościowego tzw. „antykomunizmu”. To przejęcie ukształtowało główną oś podziału na scenie politycznej, skazując prawicę na udział w grze, w której polaryzacja polityczna dokonywała się zupełnie niezależnie od stosunku do fundamentalnych prawicowych postulatów związanych z obroną ładu moralnego w przestrzeni publicznej, realistyczną afirmacją politycznej i ekonomicznej racji stanu czy też demontażem soc-etatyzmu. Zagadnienie to uważam za tak fundamentalne, iż bez wątplenia wymaga szerszego rozwinięcia i dokonania pogłębionej analizy.

Antykomunizm i „antykomunizm”

Na wstępie chcę precyzyjnie wyjaśnić dlaczego uważam, iż powszechna absorpcja przez kręgi prawicowe solidarnościowego „antykomunizmu” jest głównym źródłem wyjąłowania intelektualnego konserwatywno-narodowego obozu. W końcu jest oczywistością, że człowiek prawicy jest antykomunistą, tak jak jest zarazem antynazistą czy antydemoliberałem, co wynika z samego faktu istnienia nieusuwalnej sprzeczności konserwatywnego światopoglądu z wymienionymi tu ideologiami. Co więcej to reprezentanci szeroko rozumianej prawicy: Bierdajew, Zdziechowski, Del Noce, Voegelin, Besançon czy o. Bocheński są autorami najbardziej wnikliwych krytycznych analiz ideologii komunistycznej, sam zaś komunizm jawi się jako najbardziej radykalne zaprzeczenie światopoglądu konserwatywnego. Dlaczego zatem „antykomunizm” miałby być czymś politycznie złym?

Odpowiedź na to pytanie można dać na kilku płaszczyznach analizy. Po pierwsze należałoby wskazać na istnienie różnego rodzaju antykomunizmów. Jak to celnie zauważył prof. Bartyzel istnieje „antykomunizm prawdziwej prawicy”, dla której: „komunizm nie stanowi jakiegoś wyjątkowego fenomenu w dziejach, lecz krańcową, ostateczną postać „metafizycznego zła” w historii; kulminację wszystkich religijnych, społecznych, politycznych i kulturalnych rewolucji w dziejach”, podczas gdy fundamentem myślenia antykomunizmu wyrosłego z radykalnego nurtu solidarnościowego, reprezentowanego dziś w najwyższym stopniu przez PiS jest przekonanie „że najważniejsze przeciwieństwo komunizmu stanowi demokracja”.

Po drugie należałoby wskazać, iż celowość praktycznego politycznego używania retoryki antykomunistycznej była oczywista w dobie bezpośredniej konfrontacji z ekspansywną komunistyczną ideologią, w dobie zaś zaniku tej ideologii, do której nie przyznają się dziś żadne poważne ośrodki polityczne i intelektualne jest to czysta walka wiatrakami, mająca tyle sensu, co powiedzmy walka z silnym niegdyś na polskich ziemiach arianizmem. Próby zaś określania Nowej Lewicy, neomarksizmu podszytego freudyzmem mianem komunizmu (nawet z przedrostkiem - neo) zaciemniają, a nie rozjaśniają obraz rzeczywistego wroga. Konstytutywną cechą komunizmu jest bowiem własność kolektywna, to dzięki tej cesze możliwe jest wskazanie dystynkcji pomiędzy komunizmem a innymi formami lewicowości. Dzisiejsza walka prawicy, to walka z Nową Lewicą, z demoliberalizmem, z postmodernizmem. Przeciwnika należy definiować ściśle i precyzyjnie, a klasyczne prawicowe krytyki komunizmu to tych współczesnych wrogów cywilizacji chrześcijańskiej zupełnie nie pasują.

Przede wszystkim jednak wskazać należy na to, iż postsolidarnościowy „antykomunizm” w wydaniu jego głównych głosicieli z Jarosławem Kaczyńskim na czele żadnym antykomunizmem nie jest. To dlatego właśnie w odniesieniu do niego konsekwentnie używam cudzysłowu. Co więcej jeżeli moglibyśmy dziś w jakiejś doktrynie zidentyfikować struktury myślenia typowe dla marksistowskiego komunizmu, to znajdziemy je właśnie w myśleniu prezesa PiS-u. Już pobieżny rzut oka na poglądy Jarosława Kaczyńskiego wygłaszane po 1989 r. wystarczy, aby wskazać, iż polityk ten nie zajmował się kwestią ideologii komunistycznej. Nie zajdziemy tam studiów nad Marksem, Leninem czy Trockim. Czym, a raczej kim zajmował się zatem prezes PiS-u? Otóż zajmował się on zawsze „warstwami uprzywilejowanymi”. I znów wypadałoby tu zacytować prof. Bartyzela : „kacyzm to egalitarny, plebejski, jakobiński ultrademokratyzm, pragnienie zbudowania prawdziwej demokracji mas i dla każdego, odzyskania jej dla „ludzi”, odbicia z rąk elit, które ją zawłaszczyły”, stąd też u tego autora jakże słuszne wskazanie na analogię zachodzącą pomiędzy doktryną PiS-u oraz doktryną zapateryzmu, albowiem dla Zapatera walka z pozostałościami frankistowskiej dyktatury jest walką z wpływowym postfrankistowskim Układem.

Pamiętać należy przy tym, iż w PRL-u ideologia miała charakter fasadowy, w tym sensie, iż będąc oficjalną doktryną państwa, nie była zarazem przedmiotem masowej wiary. Komunizm był wyborem „sytuacyjnym, a nie ideologicznym”. Członkiem PZPR zostawało się w celu znalezienia się w grupie osób uprzywilejowanych, w grupie trzymającej władzę, nie zaś z powodu wiary w marksizm-leninizm. Oportunistyczni działacze PZPR z tych samych powodów stali się w III RP szczerymi wyznawcami idei socjaldemokratycznych i demoliberalnych. Nowe idee umożliwiały pozostanie w establiszmentcie państwa, a przy tym wydawały się im moralnie lepsze. W końcu, jak pisał prof. Łagowski, działacze partyjni patrzyli w latach 80. XX w. na siebie oczami opozycji. Kontestacja przywilejów partyjnych z okresu PRL-u obecna w myśleniu solidarnościowym w sposób płynny przerodziła się w doktrynie „antykomunistycznej” Kaczyńskiego w krytykę pozycji i wpływów elit III RP uosabianych najpierw przez nomenklaturę, później zaś przez oligarchów i w ogóle Układ. Była to jednak krytyka ludzi, a nie ideologii. Krytyka powadzona nie z powodu wyznawanego przez kogoś światopoglądu, ale z powodu zajmowanej pozycji społecznej, zdobytej w sposób niemoralny.

„Antykomunizm” Kaczyńskiego nie jest zatem krytyką komunizmu. Jest to swoista ideologia, której podstawowa konstrukcja została zbudowana według marksistowskiego schematu. Oczywiście celem nie jest tu realizacja utopii komunistycznej i emancypacja proletariatu. Celem doktryny Kaczyńskiego jest utopia "wolnego narodu" i konieczna do tego jego emancypacja. Wystarczy jednak, że masy nazwiemy narodem, a nie proletariatem i cały schemat marksizmu możemy już zreprodukować bez zmian.

Mamy więc tutaj fałszywą świadomość proletariatu (w języku Kaczyńskiego: narodu), służącą interesom klasy panującej czyli burżuazji (w języku Kaczyńskiego: Układowi, socjologicznie zresztą z burżuazją raczej tożsamemu). Aby wyzwolić proletariatu (naród), konieczne jest jego uświadomienie. Dokonać tego mają rewolucjoniści na służbie „moralnej rewolucji” (czyli "obóz niepodległościowo-patriotyczny"). Marks wierzył, że rewolucja dokona się w wyniku raczej dłuższej akcji uświadamiania proletariatu, Kaczyński jest tu nawet bardziej rewolucyjny, bo wierzy w jednorazową iluminację, którą określał jako: "heideggerowski prześwit". Ta prowadząca do obalenia rządów klasy panującej (Układu) rewolucyjna iluminacja, czyli emocjonalno-moralny wstrząs, polegać ma na uzyskaniu przez masy właściwej świadomości narodowej (u Marksa na uzyskaniu przez masy świadomości

proletariackiej) i zniszczeniu Układu. Od pewnego czasu nastąpiło przedefiniowanie tego, co ma być "heideggerowskim przedświtem". Jako niosącą większy ładunek emocjonalny za lepsze narzędzie uznano tu katastrofę smoleńską. Iluminacja prowadząca do emancypacji narodu polegać ma na ujawnieniu "prawdy o Smoleńsku". Eschatologia świeckiej religii patriotycznej została więc w pełni ukształtowana. Voegelinowska immanentyzacja Eschatonu ujawnia nam się w całej okazałości.

Jakobinizm w masce „antykomunizmu”

Każdy kto choć raz zetknął się płomiennymi przemówieniami wygłaszanymi przed wiekami przez Maksymiliana Robespierre'a musi zwrócić uwagę na uderzające podobieństwo używanej tam retoryki z retoryką typową dla wypowiedzi prezesa Kaczyńskiego. I nie chodzi tu tylko o samą emfazę w wyrażaniu myśli, tą typową dla tego polityka przesadę, często przekraczającą granice absurdu. Uderzające jest bowiem podobieństwo używanej frazeologii, jak pisał prof. Wielomski: „u francuskiego rewolucjonisty też wszędzie byli agenci Pitta, republika była bezustannie zagrożona przez perfidny Albion, też głoszone rewolucję cnoty”. Ta ciągła rewolucyjna gorączka, kult cnoty i prawdziwej rewolucyjnej moralności, walka z wszechpotężną agenturą, obrona Republiki do której zdolni są jedynie prawdziwi patrioci, wszystko to wskazuje na bliskie powinowactwo doktryny jakobińskiej z doktryną współczesnego PiS-u, która zarazem stanowi oczywistą kontynuację tradycji polskiego insurekcjonizmu.

Jakobinizm tradycyjnie kreuje w typowy dla siebie sposób fronty walki wewnętrznej i fronty walki zewnętrznej. W przypadku retoryki PiS-owskiej w obszarze konfrontacji zewnętrznej retoryka koncentruje się wokół takich pojęć jak godność, honor, wymawiana z największym patosem niepodległość. Słowo wróg pojawia się tutaj, ale nie jako instrumentalna kategoria poznawcza, ale w sensie manichejskim, mamy tutaj do czynienia z odwiecznymi, wręcz metafizycznymi wrogami Polski. Insurekcjonizm-jakobinizm wyraża się dzisiaj w operowaniu tą samą koturnową retoryką niepodległościową, pełną głęboko odczuwanego poczucia własnej godności i honoru, która stała u podstaw wszystkich zrywów powstańczych w dziejach Polski. To w imię tych wzniosłych ideałów prowadzona ma być zdaniem niepodległościowców polityka zagraniczna. Pozostaje to w jaskrawej sprzeczności z pragmatycznym i roztropnościowym myśleniem prawicowym, które w dziedzinie polityki zagranicznej posługuje się chłodną analizą racji stanu, kategoriami wroga i sojusznika, rozpoznaniem konstelacji geopolitycznych oraz identyfikacją narodowych interesów i korzyści.

Natomiast na polu wewnętrznym tradycyjnym wrogiem polskiego insurekcjonizmu-jakobinizmu są nieodmiennie „zdrajcy i zaprzańcy”. Ta hiperdemokratyczna jakobińska doktryna posługuje się swoistą hipermoralistyczną retoryką. Mamy tu do czynienia z typową etyką manichejską. Historia oceniana jest w kategoriach winy i kary. Polityka historyczna to ciągle wygłaszanie aktu oskarżycielskiego i ciągle stawianie przed trybunałem owych „zdrajców i zaprzańców” w celu ich publicznego piętnowania. Cała retoryka jest skrajnie emocjonalna. Rzeczywistość nie jest tu tłumaczona w typowym dla konserwatystów kategoriach starcia sił, idei czy wartości.

Konsekwencją insurekcyjno-jakobińskiego obrazu świata musi być wskazanie obozu zdrajców, reprezentujących owo, na sposób manichejski pojmowane, zło historii. Stąd III RP nie jest w myśli insurekcjonistów-jakobinów, tym czym jest faktycznie, czyli etatystycznym państwem demoliberalnym, jest zaś dla nich państwem postkomunistycznym. Agentura,

razwiedka, układ stają się kluczowymi pojęciami tej paranoicznej wizji świata. Oczywiście wszystko to opisywane jest w typowym dla wszelkich rewolucjonistów hipermoralistycznym języku.

Formalnym nowatorstwem w ostatnich latach była natomiast transformacja pojęcia postkomunizmu w pojęcie Układu. Zabieg ten, wobec marginalizacji gospodarczego znaczenia starej nomenklatury oraz politycznego znaczenia SLD, umożliwił przeniesienie desygnatu pojęcia „wroga-zdrajcy” na PO. Zarysowana przez obóz jakobińsko-insurekcyjny oś sporów przetwarza rzeczywistość, stawiając w centrum debaty o Polsce zagadnienie enigmatycznych struktur, których zło nie wynika z podejmowania takich czy innych decyzji lub posiadania takich czy innych poglądów (np. demoliberalnych). Zło ma mieć w tym przypadku charakter historyczno-genetyczny. Tym samym postulowana przez prawdziwą prawicę debata nad kształtem państwa i jego instytucji, istotą obrony państwa narodowego oraz tożsamości narodowo-kulturowej, katolicyzmem i chrześcijańską aksjologią w życiu publicznym, czy wreszcie formułą polityki gospodarczej zostaje zupełnie relatywizowana i zepchnięta na drugi plan w imię narzuconych frontalnych podziałów wojny domowej pomiędzy zdrajcami i patriotami, toczonej za pomocą hipermoralistycznego języka.

Nędza teorii Układu

Teoria układu jest radykalną symplifikacją rzeczywistości implikującą właściwą dla wszelkich byłych konspiratorów perspektywę, w której cała rzeczywistość zaludniona jest przez agentów, prowokatorów, zdrajców, a każde lokalne wydarzenie, w rodzaju np. śmierci syna powiatowego producenta z branży mięsnej urasta do rangi elementu wielkiego zbrodniczego planu działania ogólnopolskiego syndykatu (inna sprawa, iż jedynym w Polsce komentatorem nawołującym do ujmowania sprawy Olewnika we właściwych proporcjach był Jan Rokita). Stąd ciągle poszukiwania „kretów”, którzy muszą być bez wątpienia winni wszystkich nieszczęść i klęsk politycznych. Co więcej ujawnione fragmenty dyskusji, które toczyły się u Jarosława Kaczyńskiego za czasów pełnienia przez niego funkcji premiera wskazują, iż polityk ten naprawdę wierzył, że poprzez uderzenie w lokalne klikki odsłoni się jakaś ogólnopolska struktura (przykład mafii węglowej). Stąd prokuratorskie ukierunkowanie jego gabinetu. Stąd gorączkowe poszukiwanie Układu, którego odkrycie miało warunkować sukces wyborczy.

Obrońcy teorii układu bronią ją w charakterystyczny sposób. Najpierw twierdzą, że krytycy tej teorii sami tworzą sobie karykaturalną "teorię Układu", negują przy tym, jakoby uważali, iż istnieje jeden centralnie sterowany Układ. W chwilę jednak potem, nierzadko w tych samych wypowiedziach przechodzą płynnie do mówienia o wielkim planie Kiszczaka przeprowadzenia kontrolowanej za pomocą służb specjalnych transformacji polityczno-gospodarczej, planie który oczywiście "wcześniej wymyśliło KGB". Mówią o solidarności i wspólnym działaniu agentów, o pełnej kontroli WSI (nawet zlikwidowanych) nad gospodarką i mediami, i o "kretach", których ten wszechpotężny "układ" wstawia w celu niszczenia inicjatyw politycznych "patriotów". Tym samym głoszą oni, jak celnie ujął to Piotr Pięta, tą swoistą „gnozę dla ubogich”.

Koncepcja układu symplifikuje polską rzeczywistość, ponieważ mówi ona o oligarchii jako o zjawisku stricte postkomunistycznym, podczas, gdy oligarchia jest formą właściwą dla państwowo-gospodarczych struktur państw demoliberalnych. To w USA i Europie Zachodniej istnieją wzorcowe przykłady rządzącej państwem oligarchii biurokratyczno-

gospodarczej. Nomenklatura PRL-owska po prostu w okresie transformacji systemowej przekształciła się z oligarchii typowej dla realnego socjalizmu w oligarchię typu demoliberalnego, wszelkie narzędzia poznawcze, jakie należy zatem wobec niej stosować, to narzędzia za pomocą których bada się oligarchie zachodnie.

Używa się tu – mimo częstych zaprzeczeń - pojęcia układu jako struktury jednolitej, sugeruje się centralny ośrodek decyzyjny podległy najpewniej jednemu ośrodkowi dyspozycyjnemu z zagranicy itp. Tymczasem oczywiste jest, iż w obrębie oligarchii istnieją różne rywalizujące ze sobą (czasami bardzo brutalnie) grupy interesu - dowód niedawne zatrzymanie gen. Czempieńskiego, ewidentny przykład na konflikt różnych grup interesu. Ktoś kto stosuje narzędzia analizy typowe dla analizy zachodnich oligarchii dostrzega ten mechanizm od razu, teorie Kaczyńskiego są wobec takich faktów bezbronne. Założki obecnej oligarchii kształtowały się nie w wyniku planu decydentów PRL-owskich, tylko wręcz przeciwnie, w realiach sypiącego się PRL-u. Różne fragmenty oligarchii PRL-owskiej podjęły wówczas walkę o zajęcie jak najlepszej pozycji startowej w nowych realiach państwa demoliberalnego. Oligarchia wymusiła stworzenie korzystnych rozwiązań prawnych, ale z tych rozwiązań korzystały różne grupy interesu, w realiach chaosu państwowo-gospodarczego. Każdy ciągnął płótno w swoją stronę.

Teoria Układu eksponuje rolę dawnej agentury, i co w sposób oczywisty musi z tego wynikać dawnych oficerów służb, jako zwornika Układu. W rzeczywistości funkcjonariusze PRL-owskich służb specjalnych, którzy odeszli ze służby publicznej zaczęli pracować dla różnych rywalizujących ze sobą grup biznesowych i realizować ich gospodarcze interesy. Zostali tam zatrudnieni, jako osoby posiadające określone operacyjne kwalifikacje. Rodzi to patologie, ale żadne to typowo polskie zjawisko, tak samo biznes zatrudnia ludzi służb specjalnych po odejściu ze służby publicznej w krajach zachodnich. Nie ma w Polsce żadnej solidarności agentów i ludzi służb. Funkcjonują oni w różnych grupach interesu, często bezwzględnie się zwalczających. Mówienie o dawnych agentach jako o jakimś podmiocie czynnym w życiu publicznym nie ma żadnego sensu. Możemy wskazać byłych agentów wysoko postawionych, jak i spauperyzowanych i bezrobotnych. Za pomocą klucza samej "agenturalności" niczego powiedzieć o rzeczywistości się nie da. Oczywiście nie oznacza to, że byli agenci nie odgrywają żadnej roli w życiu społeczno-politycznym. PRL-owskie służby werbowały często jednostki inteligentne, perspektywiczne, dynamiczne, z racji zawodowych wiele podróżujące po świecie. Ale o ich dzisiejszej pozycji nie zdecydował wielki spisek tajnych służb, ale wyjściowa pozycja w ramach oligarchii PRL-owskiej oraz osobista sprawność w zakresie umiejętności odnalezienia się w realiach okresu transformacji.

Co więcej PiS-owska teoria układu błędnie identyfikuje strukturę oligarchii. Tymczasem wystarczy rzut okiem na listę największych firm w Polsce, by zauważyć olbrzymią dominację kapitału zachodniego. W sektorze bankowych, który ma w każdej oligarchii kluczowe znaczenie 70 % kapitału to kapitał zachodni. W dodatku najwięksi polscy biznesmeni zrobili swój kapitał na usługach dla kapitału zachodniego (np. Kulczyk jako prywatyzacyjny pośrednik). Już prof. Staniszkis w "Postkomunizmie" zauważyła, iż postPRL-owska nomenklatura nie była w stanie utrzymać swojej niezależności w drugiej połowie lat 90-tych i zmuszona została do podporządkowania się kapitałowi zachodniemu). Tak więc w Polsce rządzi oligarchia (jak w każdym demoliberalnym kraju), ale to żaden rodzimy układ postkomunistyczno-agenturalny, tylko oligarchia ZACHODNIA. To ona ma realne narzędzia wpływów - pieniądze i struktury biznesowe.

Egalitarna utopia

Jedno należy natomiast przy tym dopowiedzieć. W historii każdego państwa i każdego okresu zawsze istnieje jakaś oligarchia. Zawsze ktoś kontroluje zasoby gospodarcze i jest przez to bardziej wpływowy od innych. Niezależnie czy jest to średniowieczny feudał, plutokrata francuskiej III Republiki, sowiecki sekretarz czy top menadżer korporacji ery demoliberalizmu.

Pytanie dotyczy tego, na ile dana oligarchia żeruje na zasobach danego kraju, realizuje obce interesy i osłabia go wewnątrz, a na ile realizuje interesy zbieżne z racją stanu państwa (Arystoteles odróżniłby tu arystokrację od oligarchii). I w zasadzie obraz czarno-biały istnieje tu tylko w wizjach politycznych gnostyków, w rzeczywistości mamy do czynienia tylko z jakimś punktem pomiędzy skrajnymi wartościami skali. Np. w USA mamy oligarchię korporacyjną, która w dużej mierze realizuje globalną rację stanu USA, podobnie wygląda sytuacja np. w Niemczech. W Rosji w latach 90. istniała oligarchia antypaństwowa, powiązana z zagranicą, czysto pasożytnicza, która w wyniku działań Putina została podporządkowana z grubsza interesom państwa.

Stąd rolę programów politycznych w Polsce nie powinna być walka z oligarchią jako taką (bo to utopia), ale walka o właściwe ukierunkowanie oligarchii, powiązanie jej celów z interesami państwa (celów takich jak np. akumulacja kapitału), uniemożliwienie jej pasożytowania na gospodarce i w końcu przeciwstawienie się wpływom oligarchii zagranicznej, w tym zakresie, w jakim wpływy te szkodzą polskiemu interesowi narodowemu.

Quo vadis prawico?

Historię intelektualno-polityczną prawicy w ostatnich trzydziestu latach możemy opisać jako ciąg nieudanych prób wyrwania z kręgu hipermoralizatorskiego języka wygenerowanego przez jakobinów-insurekcyjistów. Wyrwania się ze świata w którym moralne piętnowanie wrogów i fiksacje wokół apriorycznych i kryptognostyckich konstruktów intelektu zastępują realne rozpoznanie złożonej cywilizacyjno-państwowej rzeczywistości. Jak pisze Rafał Matyja, taką próbę znalezienia swojego konserwatywnego języka odróżniającego się od języka solidarnościowej opozycji podjęło w latach 80. XX w. środowisko Ruchu Młodej Polski. Kolejną próbę podjęli w latach 90. publicyści z kręgu „Stańczyka”. Była to próba wyrafinowana intelektualnie, po której dzisiaj niestety prawie nic nie zostało. Aktualnie myślenie konserwatywno-narodowe wegetuje na absolutnym marginesie życia intelektualno-politycznego w Polsce, zaś poddany masowemu praniu mózgowi elektorat prawicowy, zaczął myśleć za pomocą obcej prawicy siatki pojęciowej. Środowiska konserwatywno-narodowe muszą jednak znaleźć swój własny język opisu rzeczywistości, bo prawica posługująca się obcym jej językiem obozu insurekcyjno-jakobińskiego nie jest prawicą.

Tadeusz Matuszkiewicz

O demoliberalnej retoryce

W środowisku polskiej prawicy spotkać można głosy sprzeciwiające się retoryce, używanej czasem przez (przynajmniej deklaracyjnych) reprezentantów prawicy podczas występów w mediach. Ostatnio pisał o tym pan Adam Witczak w artykule pt. „Powrót do reakcji?” (<http://prawica.net/opinie/27465>), temat ten został też wspomniany na przykład w tekście „Druga fala poprawności politycznej” p. Adama Danka (<http://prawica.net/opinie/27624>).

Problem polega na tym, że przedstawiciele polskiej prawicy już nieraz używali w mediach argumentacji demoliberalnej, odwołując się do haseł „wolności wygłaszania i manifestacji swoich poglądów”, „równego traktowania”, „tolerancji”, „demokracji”, „niedyskryminacji” itd. A więc np.: 1. wszystkie prawicowe manifestacje powinny być dopuszczone z powodu powszechnego prawa do manifestowania swoich idei, a sprzeciwiającą się temu lewicę cechuje brak tolerancji dla innych poglądów. Zakazanie zaś takiej manifestacji to przejaw dyskryminacji. 2. Oburzanie się na taki prawicowy postulat, który akurat popiera większość Polaków, to brak poszanowania dla demokracji. 3. Krzyż powinien pozostać w sali posiedzeń Sejmu, ale co najwyżej z powodów historycznych i kulturowych. Poza tym, zdecydowana większość Polaków to (przynajmniej teoretycznie) chrześcijanie (legitymizacja demokratyczna). 4. Religia jest obecna w szkołach w większości krajów Unii Europejskiej, więc wcale nie jesteśmy „zacofani” pod tym względem – dlatego nie ma klarownych argumentów do jej usunięcia ze szkół.

Oczywiście takie argumenty są obosieczne i mogą zostać wykorzystane przez lewicę chociażby przy okazji wspierania „marszów równości” (argumentacja analogiczna do tej użytej przy bronieniu manifestacji prawicowych) czy forsowania takiego postulatu lewicowego, który popierany będzie przez większość Polaków. Szerzej pisał o tym chociażby wspomniany wcześniej pan Witczak. Poza tym, przedstawianie prawicy jako opcji prawdziwie demokratycznej i liberalnej (w przeciwieństwie do lewicy), jest po prostu nieszczerze i niesłuszne.

Czy oznacza to jednak, że nie możemy posługiwać się argumentami demoliberalnymi? Uważam, że możemy, a nawet powinniśmy, ale pod pewnymi warunkami.

Taki sposób argumentacji ma jedną zaletę – pozwala nam wykazać niekonsekwencję i niespójność argumentów przeciwnika. Atakowanie lewicy za pomocą jej własnych haseł i obnażanie jej wybiórczego podejścia do np. „równego traktowania” czy „niedyskryminacji” prowadzi do podważenia sensowności całej jej ideologii. To jeszcze za mało, żeby odbiorca uznał prawicowe idee za swoje, ale być może wystarczająco dużo, aby przynajmniej nabrał wątpliwości co do ideologii lewicowej. Zanim uda nam się kogoś przekonać do naszych idei, potrzebne może się okazać wykazanie niekonsekwencji w postępowaniu przeciwnika. Niemniej jednak ta demoliberalna argumentacja nie może przekształcić się w deklarację poparcia dla obcych nam haseł. Dlatego powinna być ona utrzymana w formie: „Skoro głosicie, że..., to dłączego...?”. Musimy tu starannie oddzielić podważanie postulatów lewicy za pomocą jej własnych haseł od naszej własnej deklaracji ideowej.

Opisywana wyżej argumentacja może doprowadzić między innymi do zwątpienia odbiorcy w ideologię tzw. „neutralności światopoglądowej”. Poprzez demoliberalne kontrargumenty pokazujemy, że tak naprawdę „neutralność światopoglądowa” nie istnieje. A skoro nie można być neutralnym, to należy opowiedzieć się za którąś ze stron. Którą? W tym miejscu potrzebujemy już argumentacji autentycznie prawicowej.

Wytykajmy lewicy niekonsekwencję, wykorzystujmy jej hasła przeciwko niej samej. Pamiętajmy jednak, że nie są to nasze hasła. Starannie rozgraniczmy wykazywanie niespójności w zachowaniu przeciwnika oraz głoszenie własnych idei.

Krzysztof Binkiewicz

Kilka słów o wolności

Zazwyczaj wolność pojmuje się jako swobodę robienia tego, na co ma się ochotę. Lecz rozumienie to nie bierze pod uwagę negatywnego wpływu na swobodę innych. Nie uwzględnia uwarunkowań, ograniczających realizm ludzkich pragnień, marzeń i pomysłów. Poza tym, ignoruje zagrożenia wewnętrzne, jak nałogi, krępujące cechy osobowości czy brak panowania nad własnymi emocjami, żądzami i zachciankami. Zapewne również na to wskazuje Święty Paweł, gdy mówi: „*Wszystko mi wolno, ale nie wszystko przynosi korzyść. Wszystko mi wolno, ale ja niczemu nie oddam się w niewolę*” [1 Kor 6, 12]. Dlatego bardziej trafne wydaje się stwierdzenie, iż wolność jest największą władzą nad sobą, jaką można osiąść w istniejących warunkach.

Wolność mogą mieć ludzie i grupy ludzi. Poza wolnością indywidualną, kategoria ta dotyczy także rodzin, wspólnot lokalnych, stowarzyszeń, narodów, państw i innych społeczności. Wolność wyraża się w panowaniu woli nad innymi elementami własnej egzystencji. Lecz wola nie zawsze jest rozumna i może doprowadzić do ponownego zniewolenia. Jej panowanie zaś wymaga jeszcze środków, zapewniających realną swobodę w myśleniu, mowie, poruszaniu się i działaniu. Są nimi wiedza, umiejętności, praca, zdrowie, siła i sprawność fizyczna, kapitał, ziemia i inne formy własności. Lecz pozbywanie się wolności dla dobrobytu i różnych korzyści jest niebezpieczne. Korzyści tak uzyskane bowiem potem mogą zostać odebrane i w efekcie nie będzie ani ich, ani wolności.

Wolność umożliwia samodzielną i niezależną troskę o własne dobro. W odróżnieniu od niewoli bądź uzależnienia, wyklucza narzucone działania, zabierające czas i energię na coś, co jest sprzeczne z tym dobrem lub nie ma z nim nic wspólnego. Dlatego warto dążyć do niej i warto ją chronić. Należy przy tym pamiętać, że wolność jest tylko cennym „narzędziem”. Może przysłużyć się „użytkownikowi”, ale dopiero w połączeniu z jego mądrością.

Traktowanie wolności jako samoistnego celu albo najwyższego dobra jest nie tylko błędne, ale również szkodliwe. Rodzi egoistyczną troskę o nią i przesadną nieufność wobec innych. Wywołuje uczucie wrogości i poczucie osamotnienia. Powoduje wyrachowanie i lekceważenie innych. To zaś odciska swe piętno na stosunkach między ludźmi i społecznościami, prowadząc do krzywdzenia, zniewolenia i wyzysku słabych, ubogich i łatwowiernych przez silnych, bogatych i podstępnych. A ostatecznym efektem takiego traktowania wolności jest piekło na ziemi w postaci wojny wszystkich ze wszystkimi o wszystko. Dlatego nie należy dążyć do niej, jak do ostatecznego celu i wywyższać ponad wszelkie dobro ani w życiu indywidualnym, ani zbiorowym. Lecz warto mieć świadomość tego, że: „*Wszystko wolno, ale nie wszystko przynosi korzyść. Wszystko wolno, ale nie wszystko buduje*” [1 Kor 10, 23].

Krzysztof Marek

Monarchia Narodowa

Jedną z najbardziej szkodliwych rzeczy w polityce jest fatalizm. Wydaje się, że niestety od stu pięćdziesięciu mniej więcej lat Europa choruje na fatalizm; nie chodzi tutaj o wiarę w prorocтва, o uczuciowe przedstawianie sobie czegoś, o grę wyobraźni, ale jest gorzej: utwierdza się hipnotyczne pseudo-racjonalistyczne przekonanie o nieuniknionym i takim, a nie innym rozwiązaniu problemów politycznych i polityczno społecznych. To przekonanie, choć racjonalistycznie ujmowane, jest „widzi mi się”, jest fatalizmem i to szkodliwym fatalizmem. Filozofowie, którzy wywołali wielką rewolucję francuską, działacze rewolucyjni i wszyscy wielbiciele katastrofy z końca XVIII wieku rzucili w świat kilkanaście „dogmatów”, które świat powtarza, wyznaje i przyjmuje, tak, jakby koniecznie miały się urzeczywistnić wizje Zygmunta Krasieńskiego z „Nieboskiej Komедii”.

Jednym z głównych dogmatów fatalizmu, którego ogólne miano Demokracja, jest republikanizm. Doszło to już tak daleko, że nie rozumuje się nad zaletami czy wadami monarchii, lecz przyjmuje się republikę, jako wyraz naturalny „naszych czasów”. A jednak należy pomyśleć o tym, że przeszło tysiąc lat żyła Europa, zorganizowana politycznie przez szereg dziedzicznych monarchii chrześcijańskiej i w każdym wieku ludzie byli inni i monarchia była inna, choć oparta zawsze na kilku niewzruszonych zasadach, na tym, co nazywano „prawami fundamentalnymi” królestw. Pomimo wszystkich wojen i wszelkiego rodzaju przewrotów, które się w ciągu tysiąclecia dokonywały, „prawa fundamentalne” pozostawały w mocy i można mówić o politycznej i dziejowej ewolucji od czasu ukonstytuowania się nowych zrębów państwowych, po upadku cesarstwa rzymskiego aż do wielkiej rewolucji francuskiej. (s. 5)

Cała istota chrześcijańskiego monarchizmu europejskiego zawarta jest właśnie w dziejach monarchizmu francuskiego, najwcześniej, najpotworniej i najniesprawiedliwiej obalonego, w myśl życzeń tajnych związków międzynarodowych, które dobrze sobie zdawały sprawę, że kruszenie tysiącletniego porządku należy rozpocząć od „najstarszej córki Kościoła”. (...)

Co roku święci republika francuska rocznicę „zdobycia Bastylii”, w której wymordowano całą załogę, uwalniając siedmiu więźniów (dwóch wariatów, czterech szulerów i jednego rozpustnika); prawdopodobnie słynne pamiętniki Lingueta o katordze w Bastylii czytane są i dzisiaj przez wielbicieli 14-go lipca, którzy nie wiedzą, że gdy monarchia Lingueta tylko na parę lat uwięziła, to za to republika ścięła mu głowę, nie pozwalając w ten

sposób nic patetycznego napisać o więzieniach republikańskich. Najdziwniejsze i najśmieszniejsze frazesy czyta się o tendencjach ustroju monarchicznego. Oskarża się królów o niesłychaną rozrzutność, tej rozrzutności, przypisuje się wybuch z r. 1789, jednak żaden rząd królewski nie doszedł do tego, aby deficyt wzrastał z szybkością 32 tysięcy franków na minutę, a ten rekord zdobył właśnie 91-szy rząd 3-ej republiki, rząd Paul Boncour`a¹. Często słyszy się naigrywanie z monarchii dlatego, że w wieku Ludwika XVI² nie znano samochodów, ani elektryczności; a czy Cromwell³ jeździł samochodem i czy kazał oświetlić elektrycznością Whitehall⁴, gdy ścinano Karola I⁵? (s. 6)

Wytrwale i z godnym podziwu rozsądkiem starały się zawsze monarchie postępować w myśl niezmiennych zasad, unikając skrajności; aby stworzyć i obronić jedność narodu i państwa, walczyła Monarchia najprzód z arystokracją feudalną, potem z pyszną i filozofującą burżuazją liberalną, wreszcie z „klasowo zorganizowanym” proletariatem. Programem monarchicznym w kwestii społecznej, widocznym na obszarze całych dziejów, jest poddanie interesu klas interesowi ogólnemu, który przecież nie jest żadną fikcją, bo naruszenie jego stwarza takie konstrukcje, jak republika wenecka i republika sowiecka. Nieszczęściem Polski było, że wygasła przedwcześnie założycielka państwa i narodu, dynastia piastowska, i że królewscy dziedzice Piastów nie mieli dość siły, aby pokonać arystokrację feudalną. Uznając w całej pełni różniczkowania społeczne, monarchie europejskie starały się, dawno przed rewolucją francuską, zaprowadzić te „równości”, które są możliwe i sprawiedliwe. (s. 7)

1 Paul Boncour(1873-1972), socjalistyczny polityk francuski; przedstawiciel Francji w Lidze Narodów; w latach 1931-1940 senator; kilkakrotny minister spraw zagranicznych; na przełomie 1932/1933 roku premier rządu francuskiego; po 1940 roku przeciwnik marszałka Petaina.

2 Ludwik XVI (1753-1793); król Francji i Nawarry od 1774 do 1791 roku, a od 1791 roku król Francuzów; na okres jego panowania przypada wybuch i rozwój rewolucji francuskiej, której sam padł ofiarą (w 1792 roku nastąpiło ustanowienie republiki oraz uwięzienie króla, a w 1793 roku jego „proces” w wyniku, którego został zabity).

3 Oliver Cromwell (1599 - 1658) - główna postać angielskiej wojny domowej; w latach 1653-1658 Lord Protektor Anglii, Szkocji i Irlandii; odpowiedzialny za śmierć Karola I poprzez udział w pracach tzw. Parlamentu Kadłubkowego.

4 Whitehall – jedna z głównych londyńskich ulic odchodząca od Parliament Square. Wokół niej skupione są budynki rządowe, w związku z tym słowo Whitehall używane jest często jako synonim angielskiego rządu i administracji. Jedną z bocznych uliczek odchodzących od Whitehall jest Downing Street z siedzibami brytyjskiego premiera i Kanclerza Skarbu. Miejsce, w którym Karol I przebywał po wydaniu na niego wyroku śmierci przez Parlament Kadłubkowy.

5 Karol I Stuart (1600-1649); w latach 1625-1649 król Anglii i Szkocji syn króla Anglii i Szkocji Jakuba I Stuarta i Anny; w 1649 roku w trwającym niespełna miesiąc procesie specjalna komisja powołana przez tzw. Parlament Kadłubkowy w składzie z Cromwellem skazała Karola I na karę śmierci, którą wykonano. Był to pierwszy przypadek skazania przez lud swojego suwerena, czyli monarchę.

Królestwo arystokratyczne, ideał polityczny, do którego, nie posiłkując się żadnymi sofizmatami, dążyły społeczeństwa europejskie powstałe w okresie wspaniałego twórczego i pragnącego porządku średniowiecza chrześcijańskiego, powinno być dzisiaj hasłem tych, którzy zrewidowali światopogląd z końca XVIII i z XIX wieku i nie będąc tylko wstecznictwem są po prostu zdrowym sprzeciwem (reakcją) niezsutych elementów przeciwko zalewowi barbarii demokratycznej i antyhistorycznemu wynaturzeniu, do którego na oścież otwiera drzwi ustrój republikański, zarówno dyktatorski, jak i parlamentarny.

Pierwsze zamieszanie i wykołajenie społeczeństw europejskich wprowadził protestantyzm i pseudoreforma XVI wieku. (...) Od połowy XVII wieku zaczął się przygotowywać grunt już nie do zakończonych wojen religijnych, lecz do wojen ideologicznych, polityczno-społecznych. Dzisiaj jesteśmy świadkami rozpadnięcia się gospodarki światowej i na miejsce światowych ugrupowań ekonomicznych z epoki, która była rajem dla obywateli, liberałów, masonów i żydów, powstają ugrupowania, oparte na różnicy światopoglądów moralnych, politycznych i społecznych. W walce, która zaczęła się na terenie Francji w końcu XVIII-go wieku, która objęła w wieku XIX całą Europę i Rosję, a teraz obejmuje cały świat i każdy naród, każde państwo zmuszone jest nie tylko do zajęcia stanowiska wobec walczących zespołów, ale i do zaliczenia się do jednego albo drugiego z nich. Materializm, kosmopolityzm, internacjonalizm, antyhistoryczność są z jednej strony, a z drugiej strony jest spirytualizm, nacjonalizm, państwowość i historyczność. (s. 8)

Wyborczość, która jest dogmatem republikańskim wymaga, aby zwierzchnik był wybrany przez podwładnych, a więc wyższy przez niższych, lepszy przez gorszych.

Rezultatem stosowania zasady wyborów jest panowanie demagogów z językiem albo pieniędzmi (republika parlamentarna) i demagogów z pięścią (republika dyktatorska). Najwyższa instancja apelacyjna w państwie organ państwa i narodu, aby należycie wykonywać swoje zadania, musi być obsadzony w sposób bezsporny. Wybory są zawsze sporem, a prócz tego, dowolność składu kolegium wyborczego nie pozwala na danie wybrańcowi tego kolegium dostatecznej powagi. Tron dziedziczny przekreśla przeciwną zdrowemu rozsądkowi zasadę wskazania lepszego przez gorszych zapewnia bezsporność ośrodka najwyższej władzy i pozwala nie zastanawiać się nad zawsze niedoskonałym i dowolnym składem kolegium wyborczego. A więc Królestwo, ale arystokratyczne.

Możliwie wszyscy, żyjący w danym okresie członkowie narodu, powinni współdziałać w politycznym życiu państwa, ale w sposób zróżniczkowany. Już w starożytnym Rzymie bardzo słusznie porównywano różne warstwy społeczne i zawody do różnych części organizmu ludzkiego; takie porównywanie (które przecież nie jest

identyfikowaniem) jest zupełnie usprawiedliwione przez rzeczywistość. (...) Uznanie, 1) że wszystkie pokolenia, żyjące w danym momencie, nie są bynajmniej narodem, lecz tylko przedstawicielstwem narodu w pewnym okresie historycznym; 2) że współudział w życiu państwowym musi być zróżniczkowany, bo lepszym przedstawicielem narodu, pojętego prawdziwie, to znaczy genetycznie, nie jest bezbarwna liczba, lecz grupa, a nawet jeden człowiek, który tendencje i potrzeby trwale narodu rozumnie i potrafi realizować, uznanie to, a raczej skonstatowanie tych dwóch stwierdzeń, zmusza do zarystokratyzowania ustroju. Zasada lepszności, czyli arystokracji, tak samo, jak zasada królewskości dziedzicznej, odpowiada prawom naturalnym życia indywidualności zbiorowych, zwanych narodami. Obie te zasady stosowane były przez szereg stuleci, w ciągu których nie panowały abstrakcyjne, sprzeczne z naturą rzeczy, „ideały republikańskie”. (s. 9)

Przyjęcie koncepcji, które wyżej rozwijamy, nie pozwala przeciwstawiać parlamentu, jako „przedstawicielstwa narodowego” rządowi i dziedzicznemu naczelnikowi państwa i każe potępić współzawodniczenie idei „państwowej” z narodową. W królestwie arystokratycznym dziedziczny monarcha i jego doradcy są lepszymi przedstawicielami narodu od mówców i rozpolitykowanych militarystów, a państwo jest uznawane za to, czym jest w istocie, a mianowicie za wyraz organizacyjny narodu, odpowiadający jego historycznej indywidualności. (s. 10)

Socjalizm szerzył nienawiść klasową, etatyzm zaś, nie szerząc tej nienawiści, zdążył jednak do podobnego celu, a mianowicie do zbiurokratyzowania społeczeństwa, uczynienia inicjatyw społecznych niemożliwymi do urzeczywistnienia, wskutek braku środków prywatnych. Utrzymanie własności i gospodarki prywatnej, zachowanie zróżniczkowanego stanu posiadania, przy jednoczesnym przekreśleniu zarówno kosmopolitycznego hiperkapitalizmu, jak etatystycznej niwelacji, możliwe jest tylko dzięki zawodowemu czyli korporacyjnemu ustrojowi państwa.

Niektóre państwa nie będą mogły się wyrzec hiperkapitalizmu i takim państwem jest Imperium Brytyjskie, organizacja o charakterze kosmopolitycznym, niektóre państwa powinny jak najprędzej przejść do korporacjonizmu (np. Francja, Niemcy), inne zaś, mniej rozwinięte gospodarczo, mogą zdążyć prędzej lub wolniej do ustroju, realizowanego przez włoskie królestwo faszystowskie. (s. 11)

Ustrój monarchiczny jest zachowawczy: chce zachować religijność, naród, państwo, organiczność ustroju społecznego; Filip II hiszpański⁶ i Fryderyk II są zupełnie do siebie podobni w sprawie zasadniczego programu. Reformy, których tyle trony dokonywały w starej Europie, nigdy nie były antyreligijne, antynarodowe, antypaństwowe i antyhierarchiczne. (...) W znakomitej swojej pracy o konserwatyźmie (przetł. na język polski) lord Hugh Cecil⁷ wskazuje, że trzy są główne elementy opinii konserwatywnej: przyrodzona ostrożność i nieufność do nowości, religijność i patriotyzm, wreszcie dążenie do mocarstwowej potęgi. Te trzy pierwiastki znajdują się także w programie każdego monarchizmu europejskiego. Nikt chyba już dzisiaj nie może z czystym sumieniem dowodzić, że ustrój republikański jest naprawdę „rządami ludu” i że republika jest lekarstwem na nędzę. Patrząc na rzeczy realnie, widzi się, że w republikach rządzi albo kilka mniej lub więcej utajona i nieodpowiedzialna (USA, Francja, Hiszpania) albo „człowiek z pięścią”, rodzaj Napoleona, czy Cromwella, Mariusza czy Pizystratesa. Czy dużo dzięki republice zyskały Chiny, Portugalia, nie mówiąc już o Rosji i Hiszpanii? Turcja płaci teraz za rządy Mustafy Kemala utratą indywidualności narodowej. (s. 12)

Istota prawna ustroju republikańskiego polega na tym, że naczelnika państwa może w nim nie być, a jeżeli jest on, to nie ma pewnych atrybucji, które monarcha posiadać musi: istota polityczna ustroju republikańskiego wykazuje brak czynnika nadpartyjnego, nadklasowego patrzącego na rzeczy sub specie aeternitatis; żaden prezydent parlamentarny takim czynnikiem być nie może, bo nie prawo go powołuje, lecz wola jego zwolenników lub jego własna wola, przeciwna zdaniu tych, którzy mają swego kandydata, lub sami siebie chcą wynieść na wierzchołki w wyborach republikańskiego naczelnika państwa, lub po zagarnięciu przez niego władzy w inny sposób. Prezydent parlamentarny jest człowiekiem partii, albo bezpartyjnym obywatelem, nie mającym pojęcia o sprawach publicznych; prezydent

6 Filip II (1527-1598), syn Karola V i Izabeli portugalskiej. W latach 1543-1546 regent Hiszpanii. W okresie 1554-1555, po małżeństwie z Marią Tudor, przebywał w Anglii, wpływając bezpośrednio na politykę królowej. W 1555 otrzymał od ojca Niderlandy i tam do 1559 spędził pierwsze lata swojego panowania. W 1556, po abdykacji Karola V, objął tron hiszpański wraz z Królestwem Obojga Sycylii. Jeden z przywódców europejskiej kontreformacji. Wobec jego sprzeciwu wobec protestantyzmu w 1572 roku wybuchło powstanie w Niderlandach, którego skutkiem było zawarcie w 1579 roku tzw. unii w Utrechcie w wyniku, której doszło do podziału Niderlandów na dwie części: katolicką część południową, która pozostała przy Hiszpanii oraz północną, złożoną z 7 prowincji, która uzyskała niepodległość jako niezależna protestancka Rzeczpospolita Zjednoczonych Prowincji (Holandia). Rozpoczęta w 1588 roku wojna z Anglią zakończyła się klęską Hiszpanii i jednocześnie oznaczała koniec jej hegemonii morskiej. Interwencja Filipa II we Francji w latach 1592-1598, w wojnie między francuskimi katolikami i protestantami, także zakończyła się niepowodzeniem, na mocy traktatu w Vervin (1598) Filip II zrzekł się niektórych zdobyczy terytorialnych w północnej Francji.
Po jego śmierci Hiszpania zaczęła chylić się ku upadkowi.

7 Mowa o dziele H. Cecila, *Konserwatyźm*, tł. A. Starzeńska, Warszawa 1915.

dyktatorski przedstawia przede wszystkim swoje „ja” i interesy grup swoich, najbardziej fanatycznych lub najbardziej egoistycznych stronników; tylko monarcha dziedziczny, dzięki wychowaniu od dzieciństwa i stykając się od dzieciństwa z wielkimi wypadkami krajowymi, które tworząc historię kraju, tworzą także historię dynastii, tylko prawowity dziedzic tronu może być prawdziwym przedstawicielem narodu, pojętego genetycznie, i państwa, nie będącego efemerydą. (s. 13)

Ćwierć wiekowe wojny rewolucyjno-napoleońskie, rewolucyjny wynalazek powszechnej służby wojskowej i liczne wojny XIX wieku, wywołane przez wojowniczo w owym czasie, nastrojonych demoliberałów, nadały wiekowi XIX i naszym czasom specjalne militarystyczny charakter, do czego w ostatnich czasach poważnie się jeszcze przyczyniło wystąpienie na arenę polityczną rozpolitykowanych dzięki republikanizmowi przedstawicieli siły zbrojnej. (...) Monarchia dziedziczna utrzymuje armię na właściwym terenie, gdyż ani nie potrzebuje obawiać się zamachów generalskich, ani nie potrzebuje egzaltować militaryzmu, gdyż każe oddawać cześć rycerskości. (s. 14)

Największe i doktrynerskie wojny świat poznał dopiero dzięki rewolucji francuskiej. Ludwik XV⁸ wyraził zdanie o wojnie wszystkich monarchów starej Europy w słowach: „Prowadzę wojnę tylko dlatego, aby zapewnić memu ludowi trwałą pokój”. Chęć pokojowego zorganizowania stosunków międzynarodowych była stale ujawniana przez reprezentantów monarchicznej Europy. (...)

Idea suwerenności narodowej, która według szeregu publicystów, nie godzi się z monarchią, jest właśnie podporą systemu monarchicznego. Potworne samolubstwa, klasowe i jednostkowe, posługujące się państwami, a nie służące im, rodzą się tylko w epokach republikańskich (Mariusz, Napoleon, Lenin). Trzeba odróżnić „suwerenność narodu”, pojętego genetycznie, i „suwerenność ludu”, tzn. ogółu wyborców – równowartościowych atomów. (...) Król dziedziczny jest daleko lepszym przedstawicielem narodu, pojętego organicznie, niż jakikolwiek parlament, czy też obieralny, albo narzucony naczelnik państwa. Suwerenność narodowa wymaga uzależnienia naczelnika państwa jedynie od prawa, a nie od zmiennego wyrazu woli ignorantów i karierowiczów. Republika opiera się na zasadzie mechanicznej, na przemocy liczby (republika demokratyczna), albo na przemocy zbrojnej (republika oligarchiczna i dyktatorska). (s. 15)

8 Ludwik XV (1710 - 1774)- król Francji od 1715 r.; jego żoną była Maria - córka króla Stanisława Leszczyńskiego; w czasie jego rządów Francja uczestniczyła w wojnie siedmioletniej (1756-1763), która zakończyła się traktatem paryskim, w wyniku czego Francja utraciła na rzecz Anglii swoje kolonie w Kanadzie i Indiach; jednocześnie za jego panowania Francja uzyskała Korsykę oraz Księstwo Lotaryngii, w którym rządy objął Stanisław Leszczyński.

Jest rzeczą bardzo pożądaną, aby opinia publiczna była zadowolona z naczelnika państwa. Republikański system obioru naczelnika państwa wcale takiego stanu zadowolenia nie realizuje, lecz przeciwnie, stwarza, dzięki wyborom, rozdzwięk, rozdział, a nawet śmiertelne nienawiści. Ogólne uznanie opinii publicznej daleko łatwiej jest zdobyć dziedzicznemu władcy, niż najwyższemu urzędnikowi republiki. Dynastia i nie obieralny monarcha są elementami, budzącymi maximum uczuć jedności państwowej, narodowej i społecznej. (s. 16)

Cała historiozofia demoliberalna (exemplum: paszkwlista Michelet⁹) pracował nad fałszywym przedstawieniem instytucji monarchicznych i monarchów, powtarzając wszystkie złośliwe dowcipy zgorzkniałego Saint-Simona o królu-słońcu i całą buduarową pocztę o Ludwiku XV. Jak można prawić bajki, zupełnie kłamliwe lub przesadne o królewskich buduarach – gdy chwali się zrodzone wśród okrucieństwa szaleństwa ustroje republikańskie! Czemu to nie przedostają się do wiadomości szerszego ogółu nie ulegające wątpliwości dane, że założyciele nowoczesnych republik byli to po prostu okrutni rozpustnicy (Danton¹⁰), maniacy (Robespierre¹¹) i złodzieje (Saint Juste); zgromadzenie nadętych ignorantów nazwano „zgromadzeniem filozofów” (francuskie Zgromadzenie Narodowe), a tłum, mordujący się wzajemnie ze strachu „zgromadzeniem olbrzymów” (Konwencja) (s. 18)

„Bez żołnierzy, bez strachu, król jest słuchany”, konstatowali naoczni obserwatorzy starej monarchii Ludwików. Właśnie autorytet moralny jest fundamentem ustrojów monarchicznych i dlatego chytrze i cynicznie, z punktu widzenia moralnego, atakują kalumniatorzy, paszkwiliści i frazeologowie francuski ancien regime, ten najdoskonalszy obraz chrześcijańskiej monarchii. (s. 18)

Nawet piękno, które jest wyrazem człowieczeństwa i jego wyższych aspiracji, nie znalazło uznania „cnotliwych” pisarzy, którzy wolą obrzydliwy szkielet, jakim jest wieża Eiffla, niż pałac wersalski. Znakomity teoretyk monarchizmu Karol Maurras¹², bardzo

9 Jules Michelet (1798-1874); francuski historyk i pisarz; zwolennik antyklerykalizmu i liberalizmu; autor 17 tomowej historii Francji, w której dokonał apologii rewolucji francuskiej.

10 Georges Danton (1759-1794); jeden z prowodyrów i przywódców rewolucji francuskiej; członek Konwentu oraz klubu jakobinów, przywódca plebejskiego klubu kordelierów; członek i przez krótki czas kierownik Komitetu Ocalenia Publicznego; w 1794 roku postawiony w stan oskarżenia o zdradę kraju i rewolucji został stracony.

11 Maximilien Robespierre (1758-1794); jeden z przywódców rewolucji francuskiej; przywódca jakobinów; członek Konwentu Narodowego oraz Komitetu Ocalenia Publicznego, w którym odgrywał wiodącą rolę; forsował zastąpienie katolicyzmu przez kult Istoty Najwyższej; w 1794 roku obalony przez Konwent Narodowy i zgilotynowany.

12 Więcej nt. K. Maurrasa zob. Ch. Maurras, *Jestem Rzymianinem*, Pro Fide, Rege et Lege, 2003, nr 1-2 (45), s. 59-64; *Program Action Francaise*, [w:] I. Rusinowa, T. Wituch, *Między rewolucją francuską a rewolucją październikową*, Warszawa 1980, s. 287-290; J. Bartyzel, *Umierać, ale powoli!*. *O monarchistycznej i*

słusznie stwierdza, pisząc o zewnętrznym decorum monarchii, iż rzeczy poważne i wzniosłe muszą być przedstawione poważnie i pięknie. Argument Murrasa wystarcza do usprawiedliwienia tego, co ludziom, nie szanującym historii i państwa, wydaje się albo rzeczą komiczną, albo tylko ładną, ale nie użyteczną. Mecenasostwo sztuk, które zakwitły w ustrojach monarchicznych, jest jedną z misji tronów. Wielkie środki materialne, którymi rozporządzają dynastie na rzecz realizowania piękna w życiu, są daleko lepiej społecznie używane, niż bogactwa, poświęcane estetycznym celom przez osoby prywatne. (...) Rewolucje są świętami dla ludzi, o nienasyconych apetytach i niezdolności do normalnego życia. (s. 19)

Pierwsza rewolucja, która się naprawdę udała, bo skutki jej dotąd trwają, to była wielka rewolucja francuska i wszystkie rewolucje, które udały się po jej wybuchu, doszły do skutku z tych samych przyczyn: 1) braku racjonalnego kontaktu między Tronem a warstwami intelektualnymi, 2) odsunięcia się monarchy do ciasnego kręgu osobistych przyjaciół, 3) nieuzycia siły w decydujących chwilach. (...) Monarchia nie potrzebowała uciekać się do „komitetu ocalenia publicznego”, „czrezwyczajki”, ani „ustawy o obronie monarchii” (co byłoby compedium do drakońskich „ustaw o obronie republiki”); monarchowie, aby bronić siebie i ten rodzaj cywilizacji, który przedstawiają, powinni być po prostu skorzystać, jako władza legalna, ze środków legalnych, za co ogół społeczeństwa byłby im wdzięczny. (...) Republika, nawet po wyjściu z okresu szaleństwa, w którym się rodzi, nie sprzeniewierza się swoim terrorystycznym i demoralizatorskim ojcom. (s. 20)

Rozkład i kryzys we wszystkich dziedzinach życia, wywołany urzeczywistnieniem zasad republikańskich (demoliberalnych), przyczynił się do powstania fal reakcyjnych (które są postępem, a nie wstecznictwem). Jednakże ruchy reakcyjne nie są dobrze skierowane. Umysłowość ludzka została, niestety, tak zepsuta przez hasła demokratyczne, że reakcja, zamiast iść przeciwko całemu systemowi wielkiej rewolucji francuskiej, zadawała się półśrodkami, przeciwstawiając tylko jedne formy republikańskie innym. Zamiast przejąć się historycznym punktem widzenia i przyznać otwarcie, że zbawienie może dać tylko monarchia dziedziczna, reakcyjniści przeciwstawiają wybrykom republiki wybryki republiki autorytatywnej, i wydaje im się, że wszystko jest już dobrze, kiedy zamiast trzydziestu partii, będzie jeden „wódz”. Takiego rodzaju reakcja jest tym samym, co tłumienie ognia przez

katolickiej..., dz. cyt., s. 489-708; tenże, *Nacjonalizm Charlesa Murrasa*, Pro Fide, Rege et Lege, 2000, nr 1 (36), s. 24-29; B. Grott, *Nacjonalizm chrześcijański...*, dz. cyt., s. 38-40; R. Skrzyński, *Konserwatyzm. Zarys dziejów filozofii politycznej*, Warszawa 1998, s. 206-214; J. Eisler, *Od monarchizmu do faszyzmu. Koncepcje polityczno – społeczno prawicy francuskiej 1918-1940*, Warszawa 1987, s. 29-32, 120-132, 172-181, 251-280.

przyduszanie go papierem, mimo, że nawet ognia chwilowo pod papierem nie widać, ale z tym większą siłą potem pod papierem wybuchnie. (s. 21)

„Wodzowie”, „geniusze”, „bohaterowie wieku” - to wszystko są bożki chwili, to wszystko nie jest zakończenie rozstroju, to nie są tłumiciele ognia, to są potworne samolubstwa, to są pyszni i okrutni karierowiczowie, to są błyskawice w czasie burzy, które nawet pięknie oświetlić mogą, ale oznaczają spadnięcie pioruna i coraz większą ulewę. (s. 22)

Można i trzeba mieć zaufanie tylko do króla. Króla nie robi się tylko przez nazwanie kogoś w ten sposób, król oznacza monarchię dziedziczną, prawowitą, opartą na potędze moralnej, urzeczywistniającą cztery zasady, a mianowicie: 1) zachowanie religijności społeczeństwa (postulat moralny), 2) skonstruowanie państwa w myśl istotnych celów, którym państwo ma służyć (postulat polityczny), 3) zachowanie indywidualności narodowej (postulat etniczno-rasowy), 4) jak najdoskonalsze urzeczywistnienie zasady organiczności we wszystkich dziedzinach życia (postulat socjologiczny). Wielkimi moralnie postaciami byli tacy ludzie, którzy rozporządzając w chwilach zamętu elementem siły w państwie, oddali tę siłę na usługi porządkowi naturalnemu i woleli zostać najlepszymi poddanymi Jego Królewskiej Mości, niż bożkami chwili, prezydentami, czy pseudomonarchami, założycielami nieprawych dynastii (Napoleon). (...) Tylko monarchia dziedziczna zapewnia wojskowości w kraju poszanowanie oraz wysoki poziom etyczny i fachowy, gdy tymczasem republika albo poniża stan rycerski, przenosząc element siły na motłoch lub na pieniądź (Francja), albo rozpolitykowuje sfery wojskowej i staje się żerem dla apetytów władczych ludzi, rozporządzających prochem i bagnietami. (...)

Chrześcijański monarchizm zachodnio – europejski nie był oparty na fikcjach. Fikcją są rządy ludu, fikcją jest równość i fikcją jest nieodpowiedzialność naczelnika państwa republikańskiego, ale sentencja: „Król nie może źle czynić”, wyraża rzeczywistość i odpowiada potrzebie. Naznaczony przez prawo, a nie przez jakąkolwiek aurę woli, monarcha dziedziczny jest tą najwyższą i bezapelacyjną instancją, która w sprawach politycznych jest również potrzebną, jak w sprawach dogmatów moralnych. Będąc reprezentantem suwerennego, ale pojmowanego realnie, tzn. genetycznie narodu, nie może być dziedzic korony sądzony przez jakiegokolwiek współczesne mu pokolenie; rzeczywistym trybunałem dla monarchy jest Bóg poza światem a na ziemi wyrok historii. (s. 23)

Przez swoją tradycyjność i zajmowanie najwyższej godności z prawa, a nie z rodzących zamęt i nienawiść wyborów, spełnia każdy dziedziczny władca zadania, które wpływają z natury instytucji monarchicznej. (s. 25)

W Polsce monarchia ma tradycje jak najlepsze. Oczywiście nie są reprezentantami polskiego monarchizmu królowie z XVIII stulecia, których wprowadził republikański plebiscyt, umożliwiający ingerencje obcych potęg. To, że obecnie jesteśmy narodem to, że istnieje i musi istnieć niepodległe państwo na naszych ziemiach – wszystko to jest dziełem dynastii Piastów, a w szczególności Mieczysława I¹³, Bolesława Chrobrego, Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego. Dzieje polityczne Polski są tak jasne, że zasługi odpowiedniego dla Polski systemu i grzechy szkodliwego uwydatniają się z całą wyrazistością. Monarchia dziedziczna okazała w Polsce wszystkie swoje zalety zaś republikanizm wszystkie swoje wady. Godzi się przypomnieć w tej sprawie zdanie wielce zasłużonego myśliciela konserwatywnego, śp. Wincentego Kosiakiewicza¹⁴: „Monarchia dziedziczna i konstytucyjna jest jednym z dogmatów konserwatyzmu”. Takiej monarchii dopominał się wielkim głosem nasz Skarga. Taką monarchię ustalić chciała w Polsce reforma 3-go Maja. Jeżeli komu, to przede wszystkim Polakowi nie wolno być republikaninem, ponieważ to republikańskie rządy doprowadziły Polskę do upadku. Takie rządy najbardziej sprzyjają cudzoziemcowi do wciśnięcia się w walkę partii i do skłonienia narodu, aby robił to, co jest najkorzystniejsze dla jego sąsiadów. (...)

Podobnie, jak monarchiści francuscy, jesteśmy gorącymi zwolennikami istnienia i rozwoju samorządu terytorialnego miejskiego, korporacyjnego. O ile ograniczony i ściśle przefiltrowany – powinien być udział ogółu ludności w sprawowaniu naczelnej, centralnej władzy w państwie, o tyle możliwie szeroki powinien być udział obywateli w zakresie spraw miejscowych. Przy rozwiązaniu tego zagadnienia – trzeba pogodzić interes partykularny z interesem ogólnym. O ile centralny parlament jest albo narzędziem tyrańskiego centralizmu (republikańska Francja), albo przyczyną rozstroju wewnętrznego w całym państwie (przedwojenna Austria), to w przeciwieństwie do takich ewentualności, wyłącznie i jedynie dziedziczna monarchia daje dość autorytetu i spójni państwu, aby szanować i rozwijać indywidualizmy lokalne. (s. 28)

Monarchiści francuscy, żądając, aby bretończycy mieli swój uniwersytet i swoje władze autonomiczne, uważają to za możliwe tylko pod warunkiem wskrzeszenia tronu króla Francji, dziedzica książąt Bretanii. W Polsce Król Polski, będąc Księciem Ruskim, umożliwiłby

13 Tj. Mieszka I.

14 Wincenty Kosiakiewicz (1863-1918); dziennikarz, pisarz i publicysta konserwatywny; członek Stronnictwa Polityki Realnej; współpracował m.in. z Gazetą Polską, Kurierem Warszawskim, Czasem, Krajem, Słowem, autor serii książek traktujących o myśli i doktrynie konserwatywnej („Biblioteka Konserwatysty”, w której została także wydana praca H. Cecila)

istnienie autonomii ruskiej w Polsce, nie nadwężającej bezpieczeństwa Państwa Polskiego.
(...)

Niezależny monarcha prawowity daje gwarancje dostatecznej jedności i lojalności; republika albo dusi i niweluje bogactwa indywidualizmów lokalnych (Francja), albo przyczynia się do rozsądzenia państwa przez decentralizm regionalny (Hiszpania). Cesarstwo Hohenzollernów¹⁵ jest doskonałym przykładem zdolności do jednoczenia przez monarchię, przy jednoczesnym zachowaniu nawet bardzo wielkiej autonomii lokalnej. (s. 29)

Polska posiada obecnie reżim, jakiego jeszcze nigdy w historii swojej nie posiadała, a mianowicie rząd niezależny od interesów partykularnych, nie trzęsący się, jak liść, przed demagogicznymi feudałami, ale – ten reżim jest związany tylko z osobami, nie ma instytucyjności ustroju, nie ma zjednoczenia społeczeństwa z państwem. Blok Bezpartyjny, mający być wyrazem zjednoczenia z myślą o twórczej pracy dla całości, nie powstał wskutek wielkiego ruchu milionowych i zorganizowanych mas, jak faszyzm czy hitleryzm, lecz wskutek zjednania poszczególnych osób i małych grup. Idea „silnej władzy” ma za mało treści, aby wypełnić program życia politycznego dla państwa i narodu.

Przy rozstrzygnięciu, kto będzie pierwszym monarchą, a więc założycielem nowej dynastii, musi być odrzucona wszelka demagogia, wszelka aktualnościowość i koniunkturalność, dlatego, bo monarchia powinna być nie żadnym załataniem, lecz trwałym rozwiązaniem. Za demagogiczne należałoby uważać poszukiwanie „Piasta”, w osobie przedstawiciela któregoś z polskich rodów arystokratycznych. Doświadczenie większości europejskich krajów dowodzi, że dynastie pochodzenia zagranicznego asymilują się momentalnie i już pierwszy ich przedstawiciel jest nadpartyjnym, nadklasowym i prawdziwie narodowym naczelnikiem państwa. Królewicz Karol belgijski¹⁶, młodszy syn króla Alberta, księżęta włoscy, mogliby być brani poważnie pod uwagę; dynastia sabaudzka i Koburgowie¹⁷ są to starożytnie, mądre i katolickie dynastie zachodnie. (s. 30)

Księżę Sykstus de Bourbon – Parma należy do najbardziej zasłużonej dynastii zachodnio-europejskiej i ma wielkie zalety osobiste, których nie można nie doceniać u założycieli

15 Hohenzollernowie – niemiecka dynastia wywodząca się z Szwabii; jej przedstawiciele panowali w krajach niemieckich, a od 1871 roku panowali w jako cesarze niemieccy (Wilhelm I, Fryderyk III, Wilhelm II) oraz od 1866 roku w Rumunii (królowie: Karol I, Ferdynand I, Michał I, Karol II)

16 Karol Koburg (1903-1983); młodszy syn króla Alberta; hrabia Flandrii, w latach 1944-1950 pod nieobecność w kraju swojego brata króla Leopolda III pozostawał regentem Królestwa Belgii; po powrocie do kraju władzę obejmuje Leopold III, który już w 1951 roku abdykuje na rzecz swojego syna Baldwina.

17 Koburgowie – niemiecka dynastia księżęca; boczna linia dynastii Wettinów; założona przez Ferdynanda Jerzego Augusta. Jego potomkowie poprzez małżeństwa dali początek rodom królewskim w Belgii (od 1831 roku), Portugalii (od 1836 r.), Bułgarii (od 1887 r.), Wielkiej Brytanii (od 1901 roku).

dynastii, chociaż u monarchy wystarcza intelekt, który nie potrzebuje być intelektem genialnym.

Wychodząc z założeń niezależnego monarchizmu, musimy podkreślić, że odrodzenie monarchii powinno ujawnić elementy naprawdę niezależne, gdyż monarchizm nie może być środkiem ratunku dla jakichś polityków, uprawiających do ostatniej chwili republikanizm, ani produktem ubocznym, jakąś wydzieliną którejkolwiek z pośród organizacji politycznych, widzianych dotychczas na powierzchni naszego życia politycznego. (s. 31)

Od czasu wielkiej rewolucji antyfrancuskiej, zafałszowany jest nacjonalizm przez „jakobiński patriotyzm”. Jakobiński „patriotyzm” jest antyhistoryczny, nie pojmuje narodu genetycznie i etycznie, lecz ilościowo i abstrakcyjnie. Jakobiński „nacjonalizm” powstał za czasów wojen rewolucyjnych nie dla obrony Francji, lecz bandy morderców, która zawojowała Francję, obalając starą francuską monarchię. Taki jakobiński pseudonacjonalizm panuje teraz w Turcji Mustafy Kemala, w której wykorzeniane są indywidualne, tradycyjne cechy tureckie i narzucana koncepcja masońska, przy jednoczesnym, kłamliwie historiozoficznym „nawiązywaniu” do jakiegoś wczesnego średniowiecza, z którego już nic nie zostało i które sobie zupełnie dowolnie można wyobrażać. Wymazywanie renesansu, czasów nowych i nowszych (wiek XVIII i ancien regime), jest dziełem ludzi, nie posiadających historycznego punktu widzenia. Już za czasów wielkiej rewolucji antyfrancuskiej, powoływano się, przekreślając całe tysiąclecie historii, na starożytną Galię; przesądając, stara się również Hitler ożywić pierwiastki prymitywizmu staro-germańskiego, nierozsądnie i ze względów stronnicych nie chcąc brać pod uwagę, że naród niemiecki ma indywidualność, stworzoną i przez cesarskie średniowiecze Hohenstanfów¹⁸ i przez renesans habsburski i przez królestwo, a potem cesarstwo Hohenzollernów. Uwielbienie jakobińskiego „nacjonalisty” dla osobistości takiej, jak Mustafa Kemal, świadczy o braku uznania dla zasad prawowitych (legitymizm) i tradycyjności, które są podstawą prawdziwego nacjonalizmu. (...)

Katolicyzm uformował indywidualność licznych narodów, wśród których znajduje się naród polski, i jako religia uniwersalna, ale też narodowa i tradycyjna, nie może być przez prawdziwego nacjonalistę usuwany na korzyść jakiegoś barbarzyńskiego irracjonalnego i czysto ludzkiego prahistorycznego pogaństwa. (s. 33)

Leszek Gembarzewski

18 Hohenstaufowie – dynastia niemieckich władców, z której wywodzili się cesarze Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego (cesarze: Fryderyk I Barborosa, Henryk VI, Fryderyk II) oraz władcy Szwabii.

"Pan Bóg, gdy wobec człowieka ma wielkie zamiary i gdy go powołać zamierza do szczytnych zadań, zwykle wprzód umniejsza go i upokarza, doświadcza krzyżem i nocą, by zrozumiał, że z siebie mało zdziałać może, a że wielkich rzeczy dokona wsparty łaską bożą". Kard. August Hlond, Prymas Polski, 1945.

"Oparcie się całkowicie temu otoczeniu, którego oddziaływanie ideologiczne przenika nas niejako przez skórę jest wynikiem wysokiej i bardzo trudnej cnoty. Dlatego właśnie pierwsi chrześcijanie byli godni najwyższego podziwu nie tylko wtedy, gdy stawali przed dzikimi zwierzętami w Colosseum, ale również wtedy, gdy potrafili utrzymać swego katolickiego ducha żyjąc w otoczeniu pogan". Prof. Plinio Correa de Oliveira

"Gdy obstrukcyoniści staną się zbyt irytujący, nazwijcie ich faszystami, nazistami albo antysemitami. Skojarzenie to, wystarczająco często powtarzane, stanie się faktem w opinii publicznej". Stalinowska dyrektywa z 1943 roku

